SKARBCZYK

POEZYI POLSKIEJ.

POEZYE NAJSŁAWNIEJSZYCH NASZYCH POETÓW, STÓSOWNE DO DEKLAMACYI I ZABAW W KÓŁKACH TOWARZYSKICH I FAMILIJNYCH.

CHICAGO, ILL.
DRUKIEM I NAKŁADEM WŁ. DYNIEWICZA,
1896.

SKARBCZYK

POEZYI POLSKIEJ.



POEZYE NAJSŁAWNIEJSZYCH NASZYCH POETÓW, STÓSOWNE DO DEKLAMACYI I ZABAW W KÓŁKACH TOWARZYSKICH I FAMILIJNYCH.



CHICAGO, ILL.
DRUKIEM I NAKŁADEM WŁ. DYNIEWICZA,
1895.

SPIS RZECZY.



SŁÓWKO PRZEDMOWY.



Niniejsze dziełko ma na celu rozpowszechnienie arcydzieł poetycznych piśmiennictwa polskiego między ludem i młodzieżą. Wspaniałe klejnoty naszej poezyi są dla większej części naszego społeczeństwa zupełnie nieznane. Ani czwarta część polskiego narodu nie zna choć głównych tylko poematów polskich. Gdybyśmy ściśle obliczali, doszlibyśmy zapewne do smutnego wyniku, że bodaj dziesiąta część Polaków i Polek zna i ceni dzieła naszych mistrzów. A przecież nasi wieszczowie nie dla samych tylko klas wykształconych i zamożnych cudne swe pienia składali. Mickiewicz w pobudce do "Pana Tadeusza" tak się odzywa.

"O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy."

Słowacki w listach wyraża nadzieję, że kiedyś w przyszłości jego pisma lud wiejski czytać będzie. Najpiękniejsze też to uznanie dla wieszcza, jeżeli jego twory nietylko w pałacach, ale i w chatach wiejskich i w warsztatach rzemieślniczych krzewią oświatę, budzą uczucie piękna i zachęcają do szlachetnych czynów, a nadewszystko do miłości Boga i Ojczyzny.

W celu rozpowszechnienia znajomości o naszych znakomitych pisarzach wydałem dziełko Piśmiennictwo Polskie w życiorysach dla ludu i młodzieży, W pierwszem wydaniu 1874 r. były umieszczone także wyjmki z dzieł naszych celniejszych pisarzy, które w drugiem wydaniu 1882 r. prawie wszystkie usunąłem, przyrzekając nutomiast wydać dwa osobne dziełka, któreby te wyjmki zawierały. Otóż wydaję najprzód "Skarbczyk poezyi polskiej."

W tej książeczce starałem się podać najprzód kilka większych arcydzieł naszego piśmiennictwa, które uważam, że ogół naszego społeczeństwa znać powinien, a następnie także drobniejsze wier-

sze. Zależało mi też na tem aby tak dobierać, jeżeli było można, żeby w tych wzorach zwracać uwagę na nasze ważne świetne wypadki dziejowe i przypomnieć znakomitych naszych mężów. Przez to "Skarbczyk" staje się dopełnieniem nietylko historyi piśmiennictwa. ale i dziejów narodowych.

Niezawodnie spotka to dziełko zarzut, że niektórzy poeci pominięci, gdy z innych umieszczone wyjątki. Na to odpowiadam, że układ tego dziełka jest owocem długich rozmyślań, a przytem szukałem rady u osób, których zdanie w tej sprawie ma znaczenie. Wiele pięknych arcydzieł trzeba było pominąć nie dla tego, aby nie zasługiwały na pomieszczenie w tym zbiorze, ale li dla braku miejsca, gdyż na pierwszem miejscu postawiłem sobie warunek, aby cena "Skarbczyka," była i dla nieuposażonych w dobra doczesne przystępną.

Może się zgorszy niejeden krytyk, że umieściłem np. "Pieśń o pobożnym Henryku," która acz piękna, nie może stać na równi z "Grażyną" "Maryą" itd. Otóż oświadczam, że pisma moje przyczyniły się do tego, że niejeden Szlązak zaczął myśleć po polsku i w ogóle uważać się za Polaka. Słuszna tedy, abym Szlązk w mych wydawnictwach jak najwięcej uwzględniał. Dla tej przyczyny umieściłem też wiersz najlepszego poety polsko szlązkiego Czesława Lubińskiego.

Przyznaję, że Mickiewicz za mało uwzględniony. Pochodzi to ztąd, że zamierzam wydać osobny tomik, zawierający wyłącznie poezye Mickiewicza, a przytem jego utwory są więcej znane ogółowi, niż innych poetów.

Zresztą wszelkie uwagi, wskazówki, rady są mi zawsze pożądane i jeżeli będzie można, nie omieszkam z nich w razie nowego wydania korzystać.



GRAŻYNA.

Powieść Litewska przez Adama Mickiewicza.

Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi,
Na dole tuman. a miesiąc wysoko
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi
We mgle niecałe pokazywał oko.
I świat był nakształt gmachu sklepionego,
A niebo nakształł sklepu ruchomego —
Księżyc, jak okno, którędy dzień schodzi.

Zamek na barkach nowogrodzkiej góry
Od miesięcznego brał pozłotę blasku;
Po wałach z darni i po sinym piasku
Olbrzymim słupem łamał się cień bury,
Spadając w fossę, gdzie wśród wiecznych cieśni
Dyszała woda z pod zielonych pleśni.

Miasto już spało, w zamku ognie zgasły;
Tylko po wałach i po basztach straże
Powtarzanemi płoszą senność hasły.
Wtem się coś zdala na polu ukaże:
Jakowiś ludzie biegą tu po błoniach;
A gałąź cieniu za każdym się czerni
A biegą prędko, muszą być na koniach,
A świecą mocno, muszą być pancerni.

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa,
Trzej to rycerze jadą wzdłuż parowa.
Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy
Krzyknie, i w trąbkę mosiężną uderzy.
Uderzył potem raz drugi i trzeci,
Strażnik mu z baszty rogiem odpowiada;
Brzękły wrzeciądze, pochodnia zaświeci,
I most zwodzony z łoskotem opada.

Na tentent koni zbiegli się strażnicy,
Chcąc bliżej poznać i męża i stroje.
Pierwszy mąż jechał w zupełnej zbroicy,
Jaką zwykł Niemiec przywdziewać na boje;
I krzyż miał czarny na białej kapicy,
I krzyż na piersiach u złotej pętlicy,
Trąbkę na plecach, kopię u toku,
Różaniec w pasie i szablę u boku.

Poznali męża Litwini z tych znaków;
Więc cicho jeden do drugiego szepce:
"To jakiś urwisz od zgrai Krzyżaków;
Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce.
O, gdyby nie był nikt tu więcej z warty,
Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha;
Aż pod most pięścią zgiąłbym łeb zadarty!—
Tak oni mówią; on niby nie słucha:
Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał,
A chociaż Niemiec, Litwina rozumiał.

"Książę jest w zamku?" "Jest, lecz o tej porze
Bardzoście wasze poselstwo spóźnili;
Dziś nie możecie stawić się we dworze,
Chyba na jutro." "Jutro? ani chwili!
Zaraz, natychmiast, choć w spóźnioną porę,
Litaworowi o posłach donieście;
Niebezpieczeństwo na mą głowę biorę,
A wy dla znaku pierścień tylko weźcie.
Nie trzeba więcej! skoro ujrzy godło,
Pozna, kto jestem, i co nas przywiodło."

Cichość do koła, zamek we śnie leży:
Co za dziw? Północ; jesienią noc długa —
Za cóż dotychczas w Litawora wieży
Lampa, jak gwiazdka, między kratą mruga?
Wszak dziś powrócił, jeździł w kraj daleki:
Snu potrzebują troskliwe powieki.
On przecie nie śpi. Posłano na zwiady:
Nie śpi; lecz żaden z pałacowej straży,
Ani z dworzanów, ani z panów rady,
Do progu jego zbliżyć się nie waży.
Daremnie poseł i grozi i prosi:
Groźba i proźba na nic się nie przyda;
Kazano wreszcie obudzić Rymwida.
On wolę pańską nosi i odnosi,
On głową w radzie, prawą ręką w boju,
Jego nazywa książę drugim sobą:
W obozie, w zamku, jemu każdą dobą
Wstęp do pańskiego otwarty pokoju.

W pokoju ciemno, i tylko od stoła
Kaganiec światłem konającem płonął.
Litawor chodził po gmachu dokoła,
A potem stanął i w myślach utonął.
Słucha co Rymwid o Niemcach powiada,
Ale mu na to nic nie odpowiada;
To się rumieni, to wzdycha, to blednie,
Wydając twarzą troski niepowszednie.
Poszedł ku lampie, żeby ją poprawił;

Wrzekomo poprawia, a do głębi ciśnie:
Wcisnął nareszcie i całkiem zadławił —
Nie wiem, przypadkiem, czyli też umyślnie.

Snać, że poskromić nie mógł wnętrznej wrzawy,
I w pogodniejsze wystroić się lice;
A jednak nie chciał, by sługa z postawy
Zgadnął pańskiego serca tajemnice.
Znowu komnatę obchodzi do koła;
Lecz kiedy okna kratowane mijał,
Widna przy blasku miesięcznego koła,
Co się przez szyby i kraty przebijał —
Widna posępność zmarszczonego czoła,
Przycięte usta, oczu błyskawica,
I surowego zagorzałość lica.

Potem w róg gmachu zwraca się z pośpiechem,
Każe podwoje zamknąć Rymwidowi.
Siadł, i z kłamliwą spokojnością mówi,
Szyderskim mowę zaprawując śmiechem:

"Wszak mi sam z Wilna przywiozłeś Rymwidzie,
Że Witołd, pan nasz możny i łaskawy,
Miał mię podwyższyć książęciem na Lidzie,
I spadłe dla mnie po żonie dzierżawy,
Jak swoję własność, lub zdobycze cudze,
Litaworowi podarował słudze?" —
"To prawda, książę —" "My więc po te dary
Jako przystało, wystąpimy godnie.
Każ wynieść na dwór książęce sztandary,
Zapalić w zamku ognie i pochodnie. —
Gdzie są trębacze? niechaj o północy
Zjadą na miasto, a stanąwszy w rynku,
Na cztery wiatry trąbią z całej mocy,
A póty będą trąbić bez spoczynku,
Póki się wszystko rycerstwo rozbudzi.
Niech każdy piersi zbroją ubezpiecza,
Nasadzi groty i pociągnie miecza.
Zgotować żywność dla koni i ludzi:
Każdemu z mężów zgotuje niewiasta,
Ile zjeść można od ranka do zmroku.
Czyj koń na paszy sprowadzić do miasta,
Nakarmić i wziąść na drogę obroku;
A skoro słońce z Szczorsowskiej granicy,
Pierwszym promieniem grób Mendoga draśnie,
Czekać mię rzeźwo, zbrojno i zapaśnie."

Tak mówi książę. Wprawdzie jego mowa
Zaleca zwykłe do drogi przybory:
Lecz za co nagle, i niezwykłej pory?

Dla czego postać była tak surowa?
A kiedy mówił, choć gwałtowne słowa
Biegą, że jedno drugiego nie ścignie;
Zda się, jakoby wyszła ich połowa,
A reszta w piersiach przytłumiona stygnie.
Ta postać coś mi niedobrego wróży,
I głos ten myśli spokojnej nie służy.

Umilkł Litawor: zdało się, że czeka,
Aż Rymwid z wziętym odejdzie rozkazem.
I Rymwid milczy, a odejście zwleka;
Bo to co słyszał, i co widział razem,
Kiedy stosuje i waży w rozumie,
Z lekkich słów ciężką rzecz odgadnąć umie.

Ale cóż pocznie? Zna, że książę młody
Namowom cudzym mało daje ucha,
I nie lubiący w długie brnąć wywody,
Zamiary knuje w swojej głębi ducha;
A skoro uknuł, nie dba na przeszkody,
I hamowany tem srożej wybucha.
Lecz Rymwid, jako wierna panu rada
I zacny rycerz w litewskim narodzie,
Zapewne hańbie niemałej podpada,
Gdzieby powszechnej nie zabieżał szkodzie,
Milczeć, czy radzić? na dwoje myśl dzieli,
Waha się; w końcu na drugie ośmieli.

"Panie! gdziekolwiek chęci twoje godzą,
Nigdyć na ludziach i koniach nie zbędzie;
Wskaż tylko drogę, my za twoją wodzą,
Nie patrząc kędy, gotowi iść wszędzie
I Rymwid pewnie nie przyjdzie ostatni.
Ale, o panie, na różnym miej względzie
Pospólstwo ślepe, twoich rąk narzędzie,
I mężów, którzy na coś więcej zdatni.
Bo i twój ojciec, choć lubił sam z siebie
Wyciągać skrycie przyszłych dzieł osnowy;
Jednak, nim gminne miecze ku potrzebie,
Wprzódy ku radzie mądre wzywał głowy;
Kędym ja nieraz z wolnem zdaniem siadał,
A com umyślił, śmiało wypowiadał! —
Więc i dziś, wybacz, jeźli w szczerym głosie
Zeznam, co serce ustom przekazało: —
Długo ja żyłem, i na siwym włosie
Dźwigam i czasów i czynów niemało;
Przed się dziś widzę, oby nie ze szkodą!
Rzecz, dla nas starych niezwykłą i młodą.
Jeżeli prawda, że na Lidzkie państwo
Ciągniesz do twojej należące właści;

Ten pochód skory coś nakształt napaści
Zrazi i nowe i dawne poddaństwo:
Ci jak zwycięzcy czekają zdobyczy,
Tamci kajdanów, jak lud niewolniczy.

"Zaraz po kraju wieść ziarna rozsypie —
Ucho je gminne chwyta i przesadza;
Zkąd w końcu gorzki owoc się wyradza,
Co truje zgodę i co sławę szczypie.
Okrzykną zaraz, żeś chciwy łupieży
Wdarł się na państwo, któreć nie należy.

"Inaczej cale po dawnym zwyczaju
Litewskie niegdyś stąpały książęta,
Niosąc stolicę do własnego kraju;
Tych książąt dobrze mój wiek zapamięta.
I jeżli zechcesz iść po starym trybie:
Spuszczaj się na mnie, w niczem nie uchybię.

"Najprzód rycerstwo obeszlemy wszędy,
I tych co w mieście zostali się blizcy,
I co na wiejskie powrócili grzędy,
Mają na zamek zgromadzić się wszyscy;
Więc krewne pany, więc starsze urzędy,
Ku bezpieczeństwie, a większej ozdobie,
Z sowitym pocztem niech staną przy tobie.
Co nim dokonasz, ja mogę tymczasem
Wyruszyć jutro, lub pojutrze zrana,
Ze służbą, z świętą osobą kapłana,
Tudzież z potrzebnym do uczty zapasem:
Aby się wszystko załatwiło na przodzie,
A na zwierzynie nie brakło i miodzie.

"Nietylko bowiem sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni;
A widząc zrazu pańskiej hojność dłoni,
Dobrze ztąd sobie na przyszłość tłumaczy.
Tak zawżdy było w Litwie i na Żmudzi:
Jeźli nie wierzysz, pytaj starych ludzi."

Skończył, podchodzi ku oknom i doda:
"Wietrzno, niepewna na jutro pogoda.
Jakiegoś widzę rumaka przy wieży,
A tuż i rycerz oparty na łęku,
Drudzy dwaj chodzą konie wodząc w ręku;
Posły niemieckie — poznałem z odzieży.
Czy ich zawołać? czy niech na dole
Przez usta sługi odbiorą twą wolę?"

To mówiąc, okno przymknięte zaszczepił,
Niby niechcący, i patrzał i gadał:
Ale umyślnie pytanie uczepił,

By coś o posłach niemieckich wybadał.
Na to mu prędko Litawor odpowie:
"Jeżeli kiedy wychodzę po radę
Do cudzych, własnej nie ufając głowie,
Zawżdy twe zdanie na początku kładę,
Boś zewsząd godzien mojej czci i wiary,
Jak w polu młody, tak na radzie stary.

"Więc choć nie lubię, by dzieł przyszłych końce,
Lada czyjemu widne były oku —
Zamiar, wylęgły w myślenia pomroku,
Źle jest przed czasem wykazać na słońce;
Niechaj rzecz cała, dokonania blizka,
Jak piorun wprzódy zabija, niż błyska —
Przetoż ja krótko pytania odbywam:
Kiedy? dziś, jutro; gdzie? na Żmudź, do Rusi."
"To być nie może!" "Będzie i być musi! —
Lecz dzisiaj tobie głąb serca rozkrywam.

"Dla tegom kazał do konia i zbroi,
Dla tego nagle i orężnie godzę:
Bo wiem Witołda, że z wojskami stoi,
Gotowy wstręty czynić mi po drodze;
A może na to chciał do Lidy zwabić,
By zwabionego pojmać albo zabić.

Ale ja z mistrzem Pruskiego Zakonu
Tajemne zaraz związałem przymierze,
Aby mi swoje dał w pomoc rycerze,
Za co w nagrodę ustąpię część plonu.
Jeźli, jak słyszę, przybyli posłowie —
Znać, żem na jego nie zwiedziony słowie.

"Wprzód więc nim zajdą siedmiorakie gwiazdy,
Ruszymy przydać ku litewskiej sile
Niemców pancernej trzy tysiące jazdy,
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle. —
Będąc u Mistrza, sam sobie wybrałem,
Jakie ma przysłać rumaki i chłopy,
Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem,
Żelazem kute od głowy do stopy;
Wiesz, jako dzielnie brzeszczotami sieką,
I dzidą srożsi od naszych daleko.

"Knecht zasię każdy ma żelazną żmiję,
Którą ołowiem i sadzą utuczy,
Potem, ku wrogom nawracając szyję,
Podraźni iskrą; wnet paszcza zahuczy
Ogniem i gromem — zrani lub zabije,
Kogo jej strzelca trafny wzrok poruczy.
Od takiej broni niegdyś obalony

Pradziad Gedymin na szańcach Wielony.
"Wszystko gotowe. Tajemnemi drogi,
Jutro, gdy Witołd w zaufaniu zbytniem,
Na Lidzie słabe zostawił załogi,
Wpadniem, podpalim, zabierzem i wytniem."
Rymwid, niezwykłą rażony nowiną,
Stał pełen dziwu, nieprzytomny sobie;
Przegląda burzę, myśli o sposobie;
Skłócone myśli jedne w drugich giną.
Ale rzecz nagła, próżno zwlekać zdanie,
Z gniewem i żalem zawoła: "O, panie!
Bogdajbym nigdy nie dożył tej pory:
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać: raczej ogień z wodą!
"Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowiąc: przyjacielu;
Że bardziej jeszcze, niźli złe sąsiady,
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy,
Często u wspólnej pijają biesiady,
Snu używają pod jednemi dachy,
I miecze łączą ku wspólnej potrzebie.
A jeszcze bardziej nad Litewskie męże,
I nad Polaki, zawziętsi na siebie
Od wieku wieków są ludzie i węże:
A przecież, jeźli do domowych progów
Wąż zaproszony gościem od człowieka,
Jeźli dla chwały nieśmiertelnych bogów,
Litwin mu chleba nie skąpi i mleka;
Wtenczas gad swojski pełznie w jego ręce,
Społem wieczerza, z jednych kubków pija,
I nieraz senne piersi niemowlęce
Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija.
"Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt, ni gościną, ni próźbą, ni dary!...
Małoż Prusaki i Mazowsza cary,
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszę rozdziela gardziele.
"Spólna moc tylko zdoła nas ocalić!
Darmo hordami ciągniemy co roku
Burzyć ich twierdze i mieściny palić:
Przebrzydły Zakon, podobny do smoku,

Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro,
I ten ucięty rośnie w dziesięcioro.
Wszystkie utnijmy! — Napróżno się trudzi,
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki:
Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,
Na Litwie całej nie znajdzie się taki,
Coby ich nie znał chytrości i dumy,
Nie stronił od nich, jak od krymskiej dżumy;
Coby nie wolał stokroć, od ich broni
Raczej śmierć w polu, niźli pomoc zyskać,
Raczej żelazo rozpalone w dłoni,
Niźli krzyżacką prawicę uściskać!

“Lecz Witołd grozi? — Czyż bez obcych mieczy
Już nie zdołamy rozeprzeć się w polu?
Albo, czy do tych kresów zeszły rzeczy,
Iż domowego naszych zwad kąkolu
Nie zdoła wyrwać dłoń bratniej przyjaźni,
Oręż dla cudzej zachowując kaźni? —

“Zkądże masz pewność, że słuszna twa skarga,
Że Witołd znowu stawiąc się upornie,
Zdrady napina i umowy targa?
Posłuchaj — szlij mnie do niego powtórnie —
Wznowię umowę — —” “Dość tego, Rymwidzie!
Znane mi dobrze Witołda umowy:
Wczoraj mu taki wiatr zawiał do głowy,
Dzisiaj nań znowu co innego przyjdzie.
Wczoraj ufałem książęcemu słowu,
Że sobie Lidę w dziedzictwo zabiorę —
Dziś Witołd uknuł coś różnego znowu,
Na gwałt swobodną wyśledziwszy porę,
Gdy się do domów rozjechali moi,
A on u Wilna obozami stoi,
Dziś oznajmuje jakoby Lidzianie
Za swego pana słuchać mię nie chcieli,
Więc Witołd Lidę dla siebie wydzieli,
Mnie zaś w nagrodę inny kraj dostanie —
Pewnie Ruś gołą, lub bagna Warega!
Bo tam wskazana jest siedziba nasza,
Tam Witołd braci i krewnych wypłasza,
A świętą Litwę sam jeden zalega!
Patrz, jak uradził! A wie, na co radzić:
Bo w jedno bije, chociaż różną drogą;
Chciałby się jeden nad wszystkich posadzić,
I sobie równych cisnąć pod swą nogą.

“Przebóg! Czyż nie dość, że Witołda buta
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę!
Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,

Szyszaki już nam przyrosły do czoła;
Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,
Świat, jako wielki, zbiegliśmy do koła:
To na Krzyżactwo, to znowu przez Tatry
Na Polski pięknie zbudowane sioła.
Ztamtąd po stepach, żeglując z wiatry
Goniąc błędnego obozy Mongoła.
A cośmy skarbu z zamku wyłamali,
I co żywego szablica nie dotnie,
Głód nie dogryzie, ogień nie dopali,
Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.
Na trudach naszych w potęgę urasta;
Od Fińskich zatok po Chazarów morze,
Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta.
Sam w jakiem mieście! w jakim siedzi dworze!
Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojrzy bez strachu;
A przecież mniejsze od Witołda gmachu,
Co jest na Wilnie, lub Trockiem jeziorze!
Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasnym dzierżga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie —
Lecz ktożby wierzył? U syna Kiejstuta,
W pałacu świeższa murawa i kwiecie! —
Takim podłoga kobiercem osuta,
Takie po ścianach rozwisłe bisiory,
Z liściem ze srebra i kwieciem ze złota:
Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory
Cudniejsza branek Lechickich robota.
W kratach u niego szklanne okiennice,
Przywoźne kędyś aż od ziemi końca,
Błyszczą, jak polskich rycerzy zbroice,
Albo jak Niemen, przed oczyma słońca
Z pod śniegu zimne gdy odsłoni lice. —

"A ja — com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od maleńkiego wieku
Z pieluchów zaraz przewiniony w zbroje,
Książę, jak Tatar, żył o końskiem mleku? —
Cały dzień konno, w wieczór końska grzywa
Poduszką moją, przy niej noc wystoję,
A rankiem znowu trąba na koń wzywa —
Że wtenczas, kiedy moi rówiennicy,
Jeżdżąc na kijach, szablami z łuczywa
Bezpiecznie grali sobie po ulicy,
By siwą matkę lub dziecinną siostrę,
Zabawić wojny kłamanym obrazem:

Wtenczas z Tatary jam gonił na ostre,
Lub wręcz z Polaki ścinał się żelazem!

"Przecież me państwa, od Erdwiłła czasu,
I piędzią szerzej ziemi nie zaległy! —
Patrz na te mury z dębówego lasu,
I na ten pałac mój z czerwonej cegły;
Pójdź przez komnaty pradziadów siedliska,
Gdzie szklanne kuple? gdzie kruszcowe łupy?
Miasto blach złotych, mokry kamień błyska,
Miasto kobierców śniade mchu skorupy!
Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa, czy skarby? Nie, nic — kromia sławy!

"Ale i sławą wszystkim po nad głowę
Witołd podleciał. Witołd wszystkich gasi!
Jego, jakoby drugiego Mindowę,
Na ucztach wielbią wajdeloci nasi;
Jego na strunach i na wieszczym rymie
Do potomnego wysyłają blasku;
Nasze śród gminu kto wypatrzy imię?
Kto podjąć raczy z niepamięci piasku?...

"Przecież nie zajrzym. Niech walczy, niech gromi,
Niechaj się w imię i skarby bogaci;
Tylko — niech zęba chciwego poskromi,
Od swych ojczyców, od ziemic swej braci!
Czyż dawno w środku pokoju i zgody
Gwałtem Litewska wstrząśniona stolica?
Czyż dawno Witołd kniaziów wielkich grody
Naszedł, i z tronu zmiótł Olgierdowica?
I sam owładał! A tak lubi władać,
By jego poseł, jak Krywejty goniec,
Książąt podwyższał, albo zmuszał spadać! —
O! czas, że temu położymy koniec;
Czas, że po sobie jeździć nie dozwolim! —
Póki młodego w piersiach żywię ducha,
Póki żelazo ręki zdrowej słucha,
Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolim,
Com z łupów krymskich jednego wziął sobie,
Jakiemu równy dany tobie drugi,
A jeszcze dziesięć rży przy moim żłobie,
Któremi wierne poobdzielam sługi;
Dopóki koń mój — póki szabla moja — —"
Tu mu gniew słowa i tchnienie zatłoczył.
Umilkł, lecz chrzęstem ozwała się zbroja;
Znać, że się wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.
Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosa
Spada, z długiego żary trzęsąc włosa;

Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął,
I siekł w podłogę — od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.
Znowu ich głuche obeszło milczenie,
Znowu rzekł książe: "Dosyć próżnej mowy,
Oto noc prawie dochodzi połowy,
Wkrótce usłyszym drugich kurów pienie;
Wiesz com rozkazał: bądźcie w pogotowiu,
Ja legnę — może duch troskliwy spocznie.
I ciało trochę pokrzepię na zdrowiu.
Bom trzy dni nie spał. Teraz jeszcze mrocznie;
Lecz dziś zapełnia księżyc rogi nowiu,
Świt będzie widny: ruszymy niezwłocznie.
Synom Witołda w Lidzie zostawimy,
Godne dziedzictwo — popioły i dymy!"
To powiedziawszy, usiadł i w dłoń klasnął:
Skoczyli słudzy, kazał zwlekać szaty,
I legł, nie na to może aby zasnął,
Lecz aby Rymwid miał się precz z komnaty.
I on, gdy widzi, iżby nic nie sprawił,
Ani co mówił, ani dłużej bawił —
Poszedł, a jako znał powinność sługi,
Wytrąbił ukaz, rycerstwo zgromadził,
Potem do zamku wrócił się raz drugi.
Po cóż? Czy żeby znowu z panem radził?
Nie. W inną stronę wiódł on kroki swoje:
Na lewe skrzydło zamkowej budowy,
Gdzie ku stolicy spadał most zwodowy,
Szedł krużgankami przed księżnej podwoje.
Była na ów czas książęciu zamężną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną.
A chociaż wiekiem, od młodej jutrzenki,
Po lat niewieścich schodziła południe,
Oboje, dziewki i matrony wdzięki
Na jednem licu zespoliła cudnie.
Powagą zdziwi, a świeżością znęca:
Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie;
Że kwiat młodego nie stracił rumieńca,
A razem owoc wnet pełni dorośnie.
Nietylko licem nikt jej nie mógł sprostać:
Ona się jedna w dworze całym szczyci,
Że bohaterską Litawora postać
Wzrostem wysmukłej dorówna kibici.
Książęca para, kiedy ją okoli
Służebne grono, jak w poziemym lesie

Sąsiednia para dorodnych topoli,
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.
  Twarzą podobna i równa z postawy,
Sercem też całem wydawała męża.
Igłę, wrzeciono, niewieście zabawy
Gardząc, twardego imała oręża;
Często myśliwa, na żmudzkim rumaku
W szorstkim ze skóry niedźwiedziej kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku.
Z pociechą męża nieraz w tym ubiorze,
Wracając z pola oczy myli gminne;
Nieraz od służby zwiedzionej na dworze,
Odbiera hołdy książęciu powinne.

  Tak zjednoczona zabawą i trudem,
Osłoda smutku, wspólniczka wesela,
Nietylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sądy i tajne układy,
Częstokroć od jej zależały rady —
Acz innym rzecz ta nie była świadoma:
Bo księżna, wyższa nad żon prostych rzędy,
Które zbyt rade, że panują doma,
Chciałyby z tem się popisywać wszędy —
Owszem, cudzemu pilnie kryła oku
Z jaką potęgą w sercu męża władnie;
Nawet baczniejsi i bliżsi jej boku
Nieprędko mogli zbadać i niesnadnie.

  Mimo to Rymwid mądry odgadywał,
Gdzie mu jedyne pozostało wsparcie:
Szedł więc, i księżnej wynurzył otwarcie,
Wszystko co widział i przewidywał,
Jaka ztąd dawnym zwyczajom obraza,
Książęciu hańba, narodowi skaza.

  Mocno Grażynę wieść nowa uderzy;
Lecz panią swojej będąca postaci —
Udaje wrzekomo, iż temu nie wierzy,
Pokoju w głosie i twarzy nie traci.
“Nie wiem ja,” rzekła, “czyli nad rycerzy
Więcej u pana słowo niewiast płaci;
To wiem, że sobie sam radzi roztropnie,
Wiem jeszcze lepiej, co uradzi, dopnie.
Wreszcie, jeżeli nagła gniewu flaga
Doczesną burzę w sercu jego wzbudzi,
Jeźli niekiedy, lotem młodych ludzi,
Chęć swą nad słuszność, lub nad możność wzmaga,
Zostawmy, niech czas i cicha uwaga —

Rozjaśni myśli, zapały przystudzi —
Pierzchliwe słowa w niepamięć zagrzebie;
Tymczasem drugich nie trwóżmy i siebie.”
  “Wybaczaj księżno! O, nie są to słowa,
Co z ust w gorącej pryskają godzinie,
Których zagasłych pamięć nie dochowa;
Nie jest to zamiar, który w plątaninie
Chęci niewczesnych rodzi myśl jałowa,
Który, jako dym zamroczy i zginie;
Te iskry znaczą wielki pożar w duchu,
Ten dym strasznego zwiastunem wybuchu!
  “Nie dzisiaj jestem przy pańskiej osobie,
Od lat dwunastu znał mnie wiernym sługą:
Przecież, na pamięć nie przywiodę sobie,
By ze mną mówił tak szczerze, tak długo.
Odkładać próżno; co rozkazał, zrobię,
Bo już rozkazał, bym przed gwiazdą drugą
Zgromadził wojska nad grób Peresieka —
Noc będzie widna, droga niedaleka.”
  “Co słyszę, jutro? Biada mojej głowie!
Nie chcę, ażeby po Litwie gadano,
Że brat na bratnie następował zdrowie,
Wziął gardło, lub dał za Grażyny wiano!
Pójdę, i w pierwszej z książęciem rozmowie —
Owszem, dziś idę, chociaż już nie rano.
Wprzód niźli nocą świat odpędzi rosę,
Tuszę, iż dobrą odpowiedź przyniosę.”
  Żegnają siebie po tym rozhoworze,
A w jedno miejsce dążyli oboje.
Księżna, i chwili nie bawiąc w komorze,
Spieszy w gmach pański przez tajne pokoje;
Rymwid, nie bawiąc i chwili na dworze,
Spieszy krużgankiem, i w pańskie podwoje,
Że nie śmiał wstąpić, na progu usiada,
Szczeliną patrzy i ucha dokłada.
  Niedługo czekał. Klamka zaszeleści,
Z ubocznych progów mignie postać w bieli.
“Kto?” woła książę, zerwał się z pościeli,
“Kto?” “Ja,” odpowie znany głos niewieści.
Potem coś dłużej rozmawiać zaczęli.
A chociaż Rymwid domyślał się treści.
Głosu nie złowić, bo w echo wplątany,
Połknęło miejsce, lub odbiły ściany.
  Rozmowa coraz żwawsza i zmięszana,
Coraz wolniała, coraz trudniej słychać,
Częściej głos pani, bardzo rzadko pana;
Milczał, niekiedy zdawał się uśmiechać.

Nakoniec księżna padła na kolana,
Wstał, nie wiadomo podnieść, czy odpychać,
Kilka słów potem wymówił goręcej;
A potem milczał i nie mówił więcej.
I było cicho. Znowu postać w bieli,
Przemknie się ku drzwiom, klamką zaszeleści:
Czy uprosiła, czy się nie ośmieli
Prosić go dłużej — już w swój gmach niewieści
Odeszła księżna. Książę do pościeli
Wrócił — legł. Cicho, i widać w tej cisze,
Że go sen twardy w prędce ukołysze.

Rymwid daremnie jeszcze chwilę badał;
Odszedł nareszcie, i w lewym balkonie
Giermka obaczy, który z Niemcy gadał.
Słucha ciekawie, lubo ku tej stronie
Nie szła rozmowa i wiatr ją okradał;
Wtem giermek ręką ukazał ku bronie:
Coby oznaczał, Rymwid łacno zgadał.
Strasznie to pychę Krzyżaka ubodło,
Zbiegł, chwycił konia, poskoczył na siodło:
"Przysięgam — wrzeszcząc — gdybym nie był posłem,
Przysięgam na ten krzyż, komtura znamię,
Iż za obelgę, którą dziś poniosłem
Prędkoby zemstę znalazło to ramię.
Między monarchy na poselstwach wzrosłem;
Ni przy cesarskiej, ni papiezkiej bramie
Nie spotkało mię, co u twego panka:
Pod gołem niebem doczekać się ranka;
Iść precz, za czyim, za giermka rozkazem!
Ale ostrzegam, że nas nie ułowi
Pogański wykręt i nie minie płazem!
Wołać nas wrzekomo przeciw Witołdowi,
A potem wspólnem otoczyć żelazem!
No, obaczymy, czy Witołd odbije
Ten miecz, zanadto waszej blizki szyje!

"Powiedz książęciu, jeźli nie dowierza,
Sam niechaj spyta, powtórzyć gotowem,
Choć razy dziesięć temże samem słowem,
Teraz i zawsze: bo ze słów rycerza
Nic nie wyrzucić, jak ze słów pacierza,
A com rzekł usty, prawicą dowiodę.
Jama, którąście pod nami kopali,
Na waszą własną wykopana szkodę,
Dziś jeszcze, jeszcze tej nocy się zwali;
Tak, jakem Ditrich Halstark von Kniprode,
Komtur zakonu! Za mną Knechty dalej!"

Zaczekał jednak. Lecz po krótkiej zwłoce,

Gdy nic nie słyszał, bramą w pole goni.
Kiedy niekiedy zbroja zamigoce,
Kiedy niekiedy podkowa zadzwoni,
Kiedy niekiedy słychać rżenie koni;
Coraz znikają w dali i pomroce —
Las ich nakoniec i góra zasłoni.

"Jedźcie szczęśliwie! Bogdaj wasza noga
Nigdy w litewskiej nie postała ziemi!"
— Rzekł Rymwid, patrząc z uśmiechem za niemi —
Dzięki, o księżno! Jaka zmiana błoga,
Jak niespodziana! Proszę teraz, kto tu
Pochlebi sobie, że zna serce cudze?
Ów głos gniewliwy, owa postać sroga,
Słowa wiernemu nie dał wyrzec słudze!
Ptaszego, zda się, chciał pożyczyć lotu,
By spaść co prędzej na Witołda głowę:
Wtem jeden uśmiech i słówko miodowe
Wytrąca oręż, zmusza do powrotu.
Nie dziw, zapomniał starzec siwobrody,
Że księżna piękna, a Litawor młody!"

Tak mówiąc z sobą, wzniósł do góry oczy:
Może się lampa za kratą ukaże.
Napróżno patrzył; ciemność okna mroczy;
Wraca więc znowu i na ganek kroczy,
Ażali książę wołać nie rozkaże.
Napróżno czekał, zapytywał straże,
Zbliża się ku drzwiom, w pokoju noc cicha,
A książę dotąd snem twardym oddycha.
"Cuda prawdziwe! Nie odgadnę cale,
Jakim dziś wszystko idzie u nas torem:
Niedawno wołał, w największym zapale,
Rozkazał wojsko zgromadzić wieczorem,
A sam śpi dotąd? miał wyciągnąć rano? —
Stoją rycerze od Niemców wezwani,
A Niemcom z niczem odjechać kazano.
Któż zaniósł rozkaz? oto giermek pani! —
"Ile z wczorajszej wróżyłem rozmowy —
Wprawdzie żadnegom nie słyszał wyrazu,
Lecz długie proźby, głos pana surowy —
Miałażby księżna pomimo rozkazu
Ważyć się sama aż na krok takowy.
Ufna potędze niewieścich pieścideł? —
Lękam się bardzo, aby tego razu
Zbytniej śmiałości nie puściła skrzydeł.
Prawda, iż nieraz poczynała śmiele;
Lecz to byłoby więcej, niz zawiele."

Dalsze rozmowy przerwał mu posłaniec,

Który wszedł cicho i zdaleka mruga;
Więc oba spieszą w zamku lewy kraniec.
Ztamtąd krużgankiem zbiegła księżnej sługa,
Wnet sama pani w sieniach go spotyka,
Wprowadza i drzwi za sobą zamyka.

"Radco sędziwy, niedobrze się dzieje;
Ale rozpaczy oddać się nie godzi:
Jeźli nas dzisiaj zawiodły nadzieje,
Szczęśliwsze jutro może wynagrodzi.
Bądźmy cierpliwi: nie robić hałasu
Między żołnierstwem i dworską gawiedzią;
Posły odprawim do innego czasu,
Ażeby książę nagłą odpowiedzią
Nie przyrzekł Niemcom, póki zemstą płonie,
Coby rad cofnął, gdy z gniewu ochłonie.

"Ty się nie lękaj: jakkolwiek wypadnie,
Zamiarom pana nic się nie uszkodzi;
I potem wojsko może zwołać snadnie,
Jeżeli czas mu serca nie ochłodzi.
Dzisiaj miał jechać, ale wyznam szczerze,
Ja tak kwapionej wyprawie nie wierzę.
Ledwie w domowe powrócony progi,
Wczoraj zaledwie z piersi złożył zbroję,
Z dalekiej jeszcze nie wytchnąwszy drogi,
Miałżeby znowu dziś ruszać na boje?"

"Co słyszę, księżno? Ty mówisz o zwłokach?
Jak cię niestety rachuba omyli!
Już jest zapóźno; już po tylu krokach
Nie będzie czekał godziny, pół chwili —
Wreszcie obaczym. Lecz wprzód chciałbym wiedzieć,
Jak przyjął książę wczorajszą namowę?" —
Grażyna właśnie miała opowiedzieć,
Gdy ich zdarzenie pomięszało nowe.

Tentent jezdnego słychać na dziedzińcu.
Zdyszały giermek dopada komnaty,
Przynosi wieści od litewskiej czaty,
Która po lidzkim biegając gościńcu,
Teraz od Niemców dostała języka:
Że wódz krzyżacki jazdę z lasu ruszył,
A za nią knechtów i obóz pomyka;
I że przed świtem, jak czatownik tuszył,
I jak niemieckie wyznawały brańce,
Chce miasto ubiedz i szturmować szańce.

Niechaj więc Rymwid wraz do pana skoczy,
By go przebudzić i prędko uradzić —
Czyli na murach obrony rozsadzić,
Czyli na polu Niemcom zajrzeć w oczy.

Czatownik radzi, abyśmy się skradli
Do nich z ubocza, bo są niedaleko;
Wprzód nim się knechty z działami przywleką,
Abyśmy znagła na lud jezdny padli:
Tak zapędzonym na chrapy i rowy,
Łacno Rajtarom i Bratom łby zmieciem —
Potem Fusknechtów wziąwszy pod podkowy,
Do szczętu plemię jaszczurcze wygnieciem. —
Mocno Rymwida dziwi ta nowina,
Daleko mocniej dziwi się Grażyna.

"Giermku," zawoła, "kędyż są posłowie?"
Umilknął giermek, a niepewne lice,
I pytające topiąc w niej źrenice:
"Co słyszę, księżno?" zdumiony odpowie,
Alboż o własnem zapomniałaś słowie?
Niedawno, kiedy piały drugie kury,
Samaś mi rozkaz książęcy przyniosła;
Ażebym biegał co prędzej do posła,
I wyprawił go przed świtem za mury!"

"Tak," rzecze księżna, twarz odwraca zbladłą;
Lecz pomięszanie, widne w jej osobie,
Do ust wyrazy nieporządne kładło.
"Tak, prawdę mówisz, przypominam sobie —
Jakże to wszystko z głowy mi wypadło!
Biegnę — nie — stójmy — albo wiem, co zrobię —"
Stanęła, milczy. Przymkniona powieka,
Czoło pochyłe, w którem się przebija
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka;
W niepewnych rysach okaże się, mija,
I znowu wschodzi, całą twarz obleka.
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem:
Już umyśliła, postąpiła krokiem.

"Tak jest, raz jeszcze idę budzić męża.
Wojsko niech zaraz w drogę się wybiera.
Ty, giermku, rozkaż osiodłać hestera,
I wynieś resztę pańskiego oręża.
Wszystko to ma być natychmiast gotowe!
Przykazuję wam imieniem książęcia.
Odpowiedź, starcze, wkładam na twą głowę.
Jaki cel, kędy mierzą przedsięwzięcia,
Nie gadać, ani pytać, do poranku.
Idźcie, i pana czekajcie na ganku."

Wybiegła, drzwiczki za sobą zatrzasła.
Wybiega Rymwid, a myśli po drodze:
"Gdzie idę? po co? Wszak wojska i wodze,
Już zgromadzone, już wydane hasła!" —
Odetchnął tedy, zwolnił nieco kroku,

Stanął z nagiętem ku ziemi obliczem,
I myśląc długo, nie myślał o niczem:
Bo w mnogich zdarzeń i wniosków natłoku,
Myśli samopas plączą się bezładnie,
Ani ich rozum znużony owładnie.

"Próżno tu czekam. Już blizki poranek;
Wkrótce się cała zagadka rozwiąże.
Muszę z nim mówić, śpi, czy nie śpi książę." —
Więc stąpał prosto na pałacu ganek:
A wtem się zlekka rozwarły podwoje.
Litawor wyszedł sam jeden do sieni,
Szatę miał, w jaką stroi się na boje,
Całą od sutej błyszczącą czerwieni;
Głowę pod chełmem; piersi, miasto zbroje,
Pancerz obwijał z żelaznych pierścieni;
W lewicy tarczę mniejszego obłęku,
A pas od miecza na prawem niósł ręku.

Gniewem lub troską zdał się kołatany;
Nierównym stąpał i niepewnym krokiem;
Gdy się zbliżały rycerze i pany,
Uczcić łaskawem nie raczył ich okiem.
Drżący z rąk giermka wziął łuk i kołczany,
Miecz nawet zwiesił po nad prawym bokiem,
A chociaż wszyscy omyłkę widzieli,
Przestrzegać pana nikt się nie ośmieli.

Już zstąpił z ganku, już chorągiew złota
Wzniesiona, pocznie na dzień krwawy świtać,
Już doszedł konia, już przyboczna rota,
Miała go wrzaskiem i trąbami witać;
Lecz dał znać ręką, aby zamknąć wrota —
Jechać w milczeniu i o nic nie pytać.
A pacholiki i nadworne sługi
Aż za most wywiódł na dziedziniec drugi.

Ztąd nie gościńcem puścili rumaki,
Ale na prawo skręcając się dołem,
Przepadli między kurhany i krzaki;
Znowu ku drodze nawracają kołem:
Wąwóz ciemnemi wiedzie ich zatoki,
Ścieśnione coraz rozsuwając boki.

Jest od przykopów miejskich tak daleka,
Jako niemieckiej broni grzmot doniesie,
Mała, zaledwie znana komu rzeka,
Wązkim korytem błądząca po lesie;
Ku drodze jednak coraz szerzej ścieka,
Gubiąc się w wielkim jeziora okresie;
Puszcza okrywa z boków jej zwierciadła,
A z przodu góra wyniosła usiadła.

Tam, gdy litewskie wymknęły się roty,
Ujrzą wśród góry przy blasku księżyca,
Zbroje, chorągwie, szyszaki i groty.
Błysnęło, zagrzmi na hasło rusznica;
Sypią się męże, ściskają się roty:
Murem krzyżacka stanęła konnica.

Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie
Na czole Ponar zasadzone bory,
Gdy z nich oskubie wicher szaty letnie,
A rosa jasne wieszając bisiory,
Nagle się mrozem w szron perłowy zetnie;
Błędnym przechodniom zdają się u wniścia
Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.

Ten wzrok gniewy w książęciu poduszcza.
Skoczył z wyniosłem nad głową żelazem;
Wali się zbrojna w ślady jego tłuszcza.
Ale się wodze dziwią, że tym razem
Wojsko bez sprawy ladajako puszcza,
Ani ich zwykłym ostrzeże rozkazem,
Kędy sam myśli na czele ugodzić,
A jakie skrzydła odda im przewodzić.

Więc Rymwid, pańską zastępując wolę,
Obiega hufy, szykuje śród drogi;
Wklęsłe ku górze ściskając półkole,
Pancernych w środek, łuczników na rogi;
Tak zawsze Litwa zwykła stawić pole.
Dał hasło: chylą majdany do nogi —
Warknęły struny, świsnęła strzał chmura,
Jezus, Marya! — Naprzód, hop, hop, ura!
Dopieroż, drzewca ułożywszy w toku
Zerwą się bliżej, pierś na pierś uderzy —
Za cóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięztwa i klęski rycerzy?
Swoi i cudzy zmieszani w natłoku;
Zewsząd szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzy;
Pryskają bronie, lecą chełmy, głowy,
Co miecz oszczędza, druzgocą podkowy.
Książę, jak skoczył, tak goni na czele,
Ani się jeden między tłumem boi.
Znają czerwony płaszcz nieprzyjaciele:
Poznali godła na chełmie i zbroi;
Cofa się, walcząc nieśmiała gromada,
Zwycięzca pędzi i na karki wsiada.
Lecz któryż z bogów siłę w nim osłabił?
Cóż ztąd, że zbiegłych natarczywie goni?
Cóż ztąd, że bije? nikogo nie zabił.
Bezwładna szabla po pancerzach dzwoni,

Albo się zwija odbita żelazem,
Albo uchybia, albo idzie płazem.
Czując Krzyżacy tak słabe natarcie,
Odzyszczą serce; z okropnym hałasem
Nawrócą czoła, potkną się zażarcie,
I gęstym włóczni otoczą go lasem;
Czy przelękniony, czy splątany w tłumie,
Brać ich na szable i tarcze nie umie.
Trudno mu było całą unieść szyję,
Krzyżactwo zewsząd kole, strzela, siecze:
Wtem huf litewski nawałę rozbije,
Biorąc go między puklerze i miecze:
Ten słabe razy swojemi poprawia,
A ten od cudzych razów go zostawia.

Już noc pierzchała, już różane włosy
Zorza na wschodnim roztacza obłoku.
Bitwa wre dotąd, ślepe lecą ciosy,
Ni w tył, ni naprzód nie ruszono kroku;
A bóg zwycięztwa, przyszłe ważąc losy,
Równy krwi ciężar ztąd i zowąd bierze,
I szala dotąd w równej stoi mierze.

Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyckiego napotka olbrzyma:
Wkoło go mokrem ramieniem obchodzi,
Dnem podkopuje, pierś górą wydyma;
Ten, natarczywej broniąc się powodzi,
Na twardych barkach gwałt jej dotąd trzyma;
Ani się wzruszy skała w piasek wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta.

Krzyżactwo, długiej niecierpliwe bitwy,
Na wierzchu góry stojący odwodem
Ostatni hufiec pędzą w środek Litwy;
Komtur ich wiedzie, sam uderza przodem;
A zmordowanych długiemi gonitwy,
Gdy naparł świeżym i dzielnym narodem,
Łamią się szyki — Krzyżactwo zwycięża,
Wtem z góry zagrzmiał straszliwy głos męża.
Ku niemu wszystkich podnoszą się oczy.
Stoi na koniu; a jako rozwiodła
Szeroko cienie sterczących warkoczy,
Na śnieżnej górze wybujała jodła,
Tak go szeroki płaszcz do koła mroczy:
Czarny płaszcz, czarny koń i chełm i godła.
Trzykroć zawołał, zleciał nakształt gromu,
Nie wiedzieć za kim, albo przeciw komu.
Dobiega Niemców, między tłumem tonie;
Bitwy nie ujrzysz; ale zgiełk i jęki

Dają odgadnąć w jakiej walka stronie,
I jaki straszliwy piorun jego ręki.
Tam szyszak zniknie, ówdzie sztandar padnie;
Tłoczy się hufiec, mięsza się bezładnie.
Jako leśnicy, gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali;
Jęczą topory, chrobocą pił zęby;
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali;
Nakoniec, między wyciętemi zręby,
Usłyszysz i mężów i błyskanie stali:
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Darł się ku Litwie rycerz nieznajomy.

Śpieszaj rycerzu ożywić duch męzki,
Krzepić słabnących spieszaj, jeszcze pora!
Litwini blizcy ostatecznej klęski,
Dzik i puklerzów warowna zapora
Już rozłamana; sam Komtur zwycięzki
Po całem polu szuka Litawora;
On się nie kryje: oba konie bodą,
Wkrótce śmiertelny pojedynek zwiodą.
Litawor szablę wynosi do cięcia.
Komtur dał ognia z piorunowej broni.
Zadrżą Litwiny, pojrzą na książęcia:
Niestety, szabla wypadła mu z dłoni,
Cugle z słabego wyciekły ujęcia;
Już pod szyszakiem nie dotrzyma skroni,
Spływając z siodła już się bokiem chyli,
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.

Jęknął mąż czarny; a jak czarna chmura,
Ryknąwszy, błyśnie piorunowym gradem,
Z taką szybkością leci na Komtura:
Zaledwie pierwszym zwarli się napadem,
Pojrzeć, aliści Komtur już pod koniem,
A rycerz bieży i tratuje po niem.

Gdy obskoczyły książęcia dworzany,
Przybiega, chwyta, rwie pancerza węzły,
Ostróżnie zdziera blach zafarbowany,
Wyśledza postrzał głęboko ugrzęzły.
Wtem, krew na nowo wytrysnęła z rany,
Ból zemdlonego do zmysłów przywoła;
Otwiera oczy, spoziera do koła,
I znowu wciska na oczy przyłbicę;
Z gniewem żołnierze i sługi odpycha,
A Rymwidowi ściskając prawicę:
“Już jest po wszystkiem, starcze, — mówi z cicha, —
Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę;
Ratunek próżny, wkrótce umrzeć muszę,

Wieźcie do zamku, tam wyzionę duszę.”
 Rymwid szerokie oczy w nim utopił,
Ledwie śmie wierzyć, od zmysłów odchodzi.
Upuszcza rękę, którą łzami kropił,
Dreszcz kości wstrząsa, pot mu czoło chłodzi,
Teraz poznaje głos, nieznany wczora;
Niestety, nie był to głos Litawora!

 Tymczasem rycerz upuszczone wodze
Starcowi wręczył; sam do pana skoczył,
Rumaki każe nawrócić ku drodze,
Chwiejącego się ramieniem otoczył,
Składa na piersiach, krew dłonią zaciska;
Dał znak, samotrzeć pędzą z bojowiska.

 I zbliżają się pod okopy grodu.
Zaszli im drogę ciekawi mieszkańce;
Ci, bodąc konie przez tłumy narodu,
W milczeniu śpieszą na zamkowe szańce,
A skoro wpadli, uchylono zwodu.
Rycerz strażnikom przykazuje srogo,
Ni tam, ni za się nie puszczać nikogo.

 Wnet z resztą hufców ciągną bojownicy
A choć wygrali tak przeważne pole,
Mała ztąd radość była po stolicy;
Ból serca ścisnął, żałoba na czole;
Każdy się pyta troskliwie o pana:
Gdzie jest? czy żyje? jak głęboka rana?

 Nikt nie był w zamku, nikt o niczem nie wie;
Podjęto mosty i zemkniono zwory.
Tymczasem w fosę, między gęste krzewie,
Zchodzą trabanci z piłami, z topory,
Sieką chróst, walą topole, modrzewie,
A ociosane pnie, gałęzie, wiory
Toczą na barkach i wozach do miasta:
Na taki widok żal i postrach wzrasta.

 Kędy świątynie miał władca pioruna,
I bóg co wichrem niepogodnym świszcze,
Gdzie woły, konie, trzoda srebro-runa,
Codziennie krwawi poświęcone zgliszcze:
Tam stos ogromny kładą pod obłoki,
Dwudziestem sążni długi i szeroki.

 W środku dęb sterczał; a pod dębem stoi
Niemiecki braniec na dzielnym rumaku,
Z orężem, w chełmie i zupełnej zbroi,
Trzykroć łańcuchem przykuty do haku:
Wódz to krzyżacki, co był posłem wprzódy,
Zabójca księcia, Diterych z Kniprody.

Biegą mieszczanie, rycerze, kapłany;
Czekają końca, zgadywać nie śmieją:
Każdy zarówno w myślach kołysany
Między bojaźnią, żalem i nadzieją —
W zamek smutnemi poziera oczyma,
A słuch na wieści wyprężony trzyma.

Przecież i trąba ozwała się z wieży,
I most opada, i wolnemi kroki
Rusza się orszak w żałobnej odzieży,
Niosąc na tarczach bohatera zwłoki;
Przy nich łuk, włócznia, miecz i sajdak leży,
Wkoło purpurą świeci płaszcz szeroki:
Książęce stroje; lecz nie widać lica,
Bo je spuszczona zawarła przyłbica.

"To on, to ksiażę! Wielkiego pan kraju,
Mąż dużej ręki, któż mu rówien będzie,
Czy gromić Niemce, i hordy Nogaju,
Czy lud na słusznym rozsądzać urzędzie?
Panie nasz! za cóż dawnego zwyczaju
Nie widać w twoim pogrzebnym obrzędzie?
Nie tak albowiem starożytność święta
Czciła twe przodki, Litewskie książęta.

Za cóż do nieba nie idzie za tobą
Twój giermek, każdej nieodstępny drogi,
I z próżnem siodłem, okryty żałobą
Towarzysz pola, koń jelenio-nogi,
I sokół, i psy, co wiatr pyskiem sieką,
I drugie z pyskiem wietrzącym daleko?"
Szemrała gawiedź. Rycerze na stosie
Składają ciało, mleko i miód leją;
Przy długiej trąby i fletni odgłosie,
Śmiertelne pieśni Wajdeloci pieją.
Starszy pochodnię wziął i nóż ofiarny;
Stójcie! — Stanęli. Nadjechał mąż czarny.
Któż on? pytają wszyscy, któż on taki?
Poznało wojsko: on na polu wczora,
Kiedy Litewskie złamano orszaki,
I obstąpiono zewsząd Litawora,
Przypadł, odwagę stygnącą zapalił,
Niemców wysiekał, Komtura obalił.
Tyle o czarnym rycerzu wiedziano.
Dziś w tymże płaszczu na tymże rumaku:
Lecz po co przybył? zkąd ród? jakie miano?
Stójcie i patrzcie! Uchyla szyszaku,
Uchyla twarzy: on! Litawor! książę! —
Dziw nagły zmysły i mowę zabiera:
Nakoniec radość skrzepły głos rozwiąże.

Opłakanego widząc bohatera,
Wrzasną i klasną, wrzask o gwiazdy bije:
Litawor żyje! książę, pan nasz żyje!
  Stał, i ku ziemi dzierżał lice blade.
Hałas grzmi jeszcze powtarzany echem;
Zwolna wzniósł czoło, obejrzał gromadę,
Za okrzyk lekkim dziękując uśmiechem.
Nie był to uśmiech, co z serca poczęty,
Rozjaśni lica i w oczach zaświeci;
Ale jakoby gwałtem przyciągnięty
Usiadł na ustach i wkrótce uleci:
Tyle dodaje smutnej twarzy wdzięku,
Ile kwiat w bladem nieboszczyka ręku.
  "Zapalcie zgliszcza!" Palą, ogień bucha,
A książę dalej: "Wiecie-li wy, czyje
Zwłoki na stosie giną?" — Cichość głucha.
"Niewiasta! choć ją męzka zbroja kryje!
Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha —
Ja się zemściłem, lecz ona nie żyje!"
Rzekł — bieży na stos, upada na zwłokach
Ginie w płomieniu i dymu obłokach.

JAN BIELECKI.

Powieść narodowa polska oparta na podaniu historycznem.

Przez Juliusza Słowackiego.

I.

WYPRAWA NOCNA.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy:
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubił żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski i szlachcic mieć może.
Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe;
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki,
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy:
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.
Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
W złocistej szacie, ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzonem czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Juz od tygodnia szlachtę sprasza, poi.
Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha,

Pan Brzeżan mówi: szlachta wstaje, słucha.
"Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie, a ja w krótkiem słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.
"Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły,
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem
Widziałem wroga, nie próżno przychodził,
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczem.
"Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemieckie książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże,
Ja się usunę! niech mnie grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!
"Hej! Szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany,
I tak spokojny między niemi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wrócim, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę."
Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany,
Jak się wahały brylantowe kity
I oko ćmiły różnobarwne krasy.
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się zmieszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,

Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.
Pali się szlachta, już dosiada koni.
Pieszym pan Brzeżan rozdąje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpieah radzi,
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi.

II.

WESELE.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u Fary
Jaśnieje ołtarz; potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany:
Tam pożółkniały ksiąg pargamin stary,
A ówdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartem czołem, Jan Bielecki zbrojno,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza;
Patrzy na młodą a wzrok mu się pali.
Przy męzkiej piersi gdzie żelażo lśniło,
Od lubej w miłym dany upominku
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A dalej, swaty za młodym rycerzem,
A dalej, bracia husary, pancerni,
A dalej, służba w wielkiem stoi kole,
Zbroję od prostej odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogow tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory;
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą chełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:

Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
O, jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychyiona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dla czego smutna?... Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora krysztale;
Choć chmury słońca nie zakryją świątu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilia wodna możc przeczuć burze;
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały
I pochodniami świecili kozaki:
Noc księżycowa, widna jak dzień biały.
"Stójcie!" zawołał pierwszy swat, "przedemną
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa..."
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą; sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił; prędko jak błysk gromu,
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
"Anno," rzekł, "Anno, wracaj! nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami,
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojem objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!..." Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.
Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.
Bielecki zniknął, żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jej serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.
Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek

Wzleciał nad skiby przeoranej roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

VII.

BAL MASKOWY.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiaździstej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz bodzą ciszę wieczornej godziny
Głośnem wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z pobliskiego sioła.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę;
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczekały brytany zbudzone,
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł; czapkę miał na głowie
Brzmiącą dzwonkami, obszytą w galony,
I rzekł: "Niech będzie Chrystus pochwalony!"
"Na wieki wieków," starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nizko schylił głowy,
I rzekł: "Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,
Dziś mnie posełа po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszysay w dziwne przybrani maszkary."
"Ha! precz mi z oczu!" krzyknął cześnik stary,
"Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!
Precz! bo na Boga!..." Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdjęty niemocą
Już gniewu swego nie mógł wywrzeć słowy...

Była to straszna chwila przed północą;
Wokoło słychać nocnych kurów pianie,
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrzały obrazy na scianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły;
Wszedł blady człowiek, lecz na powitanie
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił,
I opatrzone w pieczęć zawinięcie,
Złożył na stole i sam się oddalił
"O, córko! córko! to Jana pieczęcie!"
Wykrzyknął starzec, wosk rozłamał kruchy,
I znalazł słowa: "Anno! bądź na balu..."
A dalej szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące, jak gwiazdy w noc ciemną.
Perły daleko łowione w Basorze.
Anna spojrzała i zbladła: "O Boże!
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną."
Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecyi, co po morzu pływa,
Do Polski wnosi karnawału święta?
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złoconemi ściany,
Strojne w atłary i drogie bławaty.
Oto jest zgraja królewske barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?

Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica;
A w ręku jego drżą struny gitary,

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu.
A pieśni majtków i szum cichej fali
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody,

Poślubił morze i jak Tas się żali.
  Lecz w jednę stronę zbiegł się tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask dyamentowy,
We włosach toną przepaski z korali...
  Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewica?...
Próżna ciekawość, pod maską jej lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.

IV.

ZEMSTA.

  Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
Głośna to radość, lecz radość nieszczera;
Smiech słychać!... śmiech to wymuszony świata
Na bladych licach nigdy nie umiera.
Smiech ten jaśnieje jako kwiaty z płóta,
Któremi błyszczy biesiadnika głowa;
Ich postać wiecznie, jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna;
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie
Nad jednę chwilę rozkoszy, choć błędną?
  Pan Brzeżan, smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumu różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złoconych niejedna twarz blada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził starosta, — krok niepewny, skory,
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

  W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;
I zbiegł starosta do sali biesiady,
Zawołał pazia, pomięszany, blady.
"Paziu mój, paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,

Czoło zakryte i tatarskie szaty..."
"O panie! twojej bojaźni nie dzielę,
To jakaś szlachta zjechali kulikiem."
"Nie są to, paziu, nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zarazby pełne obległa szklanice,
A oni milczą, kryją tajemnicę...
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny... Lecz cóż to? O Boże!
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędzej paziu młody."

Już nie czas... Zewsząd tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem, baszą, atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,
Czoło złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promien lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł, jak śmierci mara,
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
Nad emalii zaćmionym lazurem,
Obraz Najświętszej Panny malowany,
I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżyca półkole,
I gwiazda, nad nią chełm ze strusiem piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa.

A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana;
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki,
Ona jak marwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiał, pełny słodkiej woni;
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara,
A strasznie bladą była twarz dziewicy.
Budzi się, gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
"Tyś to mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę, rysy twego czoła..."
I zdjął Bielecki turban muślinowy,
Anna spojrzała — i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady,
I znów po chwili ciężko przebudzona
Rzekła: "O luby! tak straszny! tak blady!..."
"Cha! blady?" przerwał rycerz z dzikim śmiechem.
"Wszak zdradzam!..." zamilkł, lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: "Tak! twarz moja blada!
Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał.
Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
Na mojem czole napisano: zdrada.
Kraj cały we krwi... Wznieś na księżyc oczy,
Patrz na te okna, na szkle malowidła.
Gdy błyśnie słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy,
Ciemniejszem patrzy i niepewnem licem,
Smutną ma postać, obumarłe barwy.
Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy;
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa? od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O luba moja po co te rozmowy?
Luba! chodź ze mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twojem łonie dożyję siwizny,
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy."
"Mój Ojciec!" — "Ojciec?... Ojciec przeklnie ciebie!

I ty się lękasz?... Przeklnie! i cóż znaczy
Przeklęstwo ojca, braci, lub ojczyzny?...
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
Są ludzie, wszyscy przyjaciołmi mymi,
Jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi."

V.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
Wokoło cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny,
Zadzwonił, zewsząd lud spieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny.
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
Ucichła... Księdza tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble, i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymzy zapada.

Msza się skończyła. — Oto w nizkie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz niewesoła.
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
Obaj pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić boskie słowo:
"O! Bracia! dzieci! i tegożem dożył?
Ja stary wiekiem z ubieloną głową,

Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w bożem słowie.
Tu niegdyś siadał—oto ławka pusta,
Nasz pan Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami....
A teraz Bracia! dzieci! ja przeklinam!...."

Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen, lecz amen żałoby.
Jakże niechętne? dźwiękiem ledwo żywe.
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwie podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamięszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżęcy i blady straszliwie
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrżał.... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi, twarz blada, nieżywa:

I rzekł: "Wyklęty!... my idźmy do domu!..."
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą,
I rzekł poważnie: "Bóg jest miłosierny!
A jego litość liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku i głębsza nad morza."

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewica!
To Anna! z ust jej nie słyszano słowa,
Czy brak w niej czucia? bo sucha źrenica;
Twarz nieruchoma jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.

Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty
I brylantami oświecone szaty;
We włosach jasne przepaski z korali.

"O! mój najmilszy!" rzekła "o! mój drogi!
Jesteśmy sami, już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął, a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami.
Ty milczysz? luby odpowiedz mi łzami!..."
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:

"Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi."
Rzekła: krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły....
I cicho smutne płynęły godziny.

Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy, księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrzył, a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
Nieszczęsna boskiej wzywała pomocy.
Widna jej postać przy blasku miesiąca,
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.

Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca;
Lecz echo coraz słabsze niosło razy,
I coraz słabsze nikły jako w Bogu
Tonące modły, jako śpiew daleki....
Dziewica blada na kamiennym progu
Usnęła, może usnęła na wieki....

I cicho—niechaj głos pieśni stłumiony
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboka zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,

Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści i śmiech obłąkania.
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy,
Słuchem anioła i myślą anioła.



WIESŁAW.

SIELANKA

przez

Kazimierza Brodzińskiego.



I.

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniężne wory;
Czterysta złotych ułożył na ławie,
I tak powiedział: "Zgarnij to Wiesławie!
Idź do Krakowa, a za te talary
Kupisz dwa konie i dobierz mi pary.
Już jedynaka w boju mi zabili,
A mnie zgryzota i skrzętny wiek chyli;
Nie mam w niemocy poufać się komu,
Ty prawą ręką stałeś mi się w domu.
Po mojej śmierci tyś rodziny głowa,
Jeźli (daj Boże!) córka się uchowa;
Ma lat dwanaście, nieskąpo urody,
Możesz jej czekać i twój też wiek młody."
„Tak jest, dla ciebie (Bronisława powie)
Strzegę tej córki, jakby oka w głowie."
(I pogłaskała Bronikę po twarzy,
Jej pusty uśmiech na licach się żarzy).
A cóż droższego mieć możesz od matki?
Jedneć to moje przed grobem dostatki.
Miałam ja drugą — litościwy Boże!
Oko się za nią wypłakać nie może;
Zaledwie piąty owoc kwitnął sadu,
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu.
Już to dwunastem liściem wiatr pomiata,
Jak myśli matki zatruwa jej strata;
Gdy wojna polskie dobijała plemię,
W pustkach wsie stały, a odłogiem ziemie,
W około lasów i wiosek pożary,
Gniewu Bożego zwiastowały kary;
Z wiatrem, co strzechy i konary zwalił,

Do nas wróg przybył i wioskę zapalił.
Dzień to był sądu! wśród płaczu i gwaru,
Wśród ciemnej nocy, wichrów i pożaru,
Razem rolnicy ku obronie bieżą;
Razem się wojsko ciśnie za grabieżą.
W tej walce z dymem poszła ojców strzecha,
Wtedy mi córka, jedyna pociecha,
Znikła bez śladu; przez długie ja czasy
Chodziłam za nią na wioski i lasy,
Lecz jako kamień do morza rzucony
Zniknęła wiecznie, głuche wszystkie strony....
Co rok do kłosów przychodzą oracze,
A ja dziecięcia nigdy nie zobaczę.
Niech Boska wola będzie Boska chwała!
Ciebiem ja, synu, za nią wychowała;
Bo gdzie sierota przyjęta pod strzechę,
Tam z niebem bliższy Bóg zsyła pociechę.
Może też moje utracone dziecię
Podobnie kędyś opuszczone w świecie,
Litość znalazło—żyje gdzie u matki,
Pomiędzy własne policzone dziatki.
W tej ja to myśli, po twych ojców strácie,
Ciebie małego wychowałam w chacie.
Litość za litość. — Niebieska opieka
Tajnie nagradza uczynki człowieka,
A jeźli ziemia strawiła jej kości,
Swobodna dusza w krainach przyszłości
Igra wesoło przy niebieskiej matce,
I łaskę nieba zwabia naszej chatce."

Tu Bronisława zalała się łzami....
Rade łzy płyną za matki myślami;
Płakała zaraz i córka przy boku;
A łzy męzkiemu nieprzystojne oku
Kryjąc Stanisław, karci smutek żony:
"Jaki los w niebie ludziom naznaczony,
Próżno się troskać, Bóg siedzi wysoko,
Nad całym światem baczne trzyma oko!
Wszakci On Ojcem wszędzie i na wieki,
Cóżby zdołało ujść Jego opieki?
Lepsze nad smutek ufanie pobożne —
Idź! Wiesławowi przygotuj nadrożne,
A ty pospieszaj i chroń się przygody;
Bo zawsze wiele ufa sobie młody:
Przynieś twej przyszłej podarunek z drogi."

Wiesław obojga kornie ścisnął nogi,
I wyszedł z chaty przeniknięty cały,
Że takich ojców niebiosa mu dały.

II.

Już miły wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie;
Parskając konie, bieżą po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją dróżbowie w podkówki ze stali.
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta, zarządca wesela:
“Dobrze to w każdym znaleźć przyjaciela!
Witajże do nas, wy z Proszowskiej ziemi,
Nie chciejcie gardzić dary ubogiemi;
Pożyjcie z nami, czem tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się Krakowskim dziewojom,
Rozlicznym tańcom i przecudnym strojom;
Wreszcie i w tany puścić się nie szkodzi,
Bo choć strudzeni, widzę, żeście młodzi.”
Na to Halina przystąpiła młoda,
W całem weselu najpierwsza uroda,
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasta z koszyka i owoc podaje.
“Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba.”
A przytem uśmiech jakowyś uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy,
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i duszą został przy Halinie.
Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany,
Potem Starosta, zarządca wesela
W te słowa drużbom porady udziela:
“Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
Niech idzie w tany, niech też po swojemu
Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze,
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.”
Wziął sobie druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
Naprzód wychodzi przed muzyką staje,
Halina w pląsach rękę mu podaje;
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali.
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
I pląsa lekko przed Halina żwawą.
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie,

Tupnął i głowę nachylił ku ziemi,
I zaczął nucić słowy takowemi:

Niechże ja lepiej nie żyję,
Dziewczę! skarby moje,
Jeźli kiedy oczka czyje
Droższe mi nad twoje.

Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie.

Bierze Halinę i tak w około
Przodkując drużbom, tańczy wesoło,
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak przed nią nuci:

Czemuż ja w Proszowskiej ziemi
Małe zaznał dziecię,
Byłbym między Krakowskiemi
Najszczęśliwszy w świecie.

Krew nie woda ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek myśli i układa,
A wszystko Bóg sądzi.

Halina w pląsach przed nim ucieka,
On w ręce bijąc goni z daleka;
A gdy dogoni, znowu z nią wróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

Nie uciekaj dziewczę lube
Moje sto tysięcy!
Dogonię ja moję zgubę
I nie puszczę więcej.

Krąży ptaszek w ciemnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż dognany piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia.

Sam teraz w pląsach przed druchną stroni,
A ona za nim wesoło goni
I dogoniony gdy znowu wróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

Gospodarzu, nie dasz wiary,
Ja konie opłacę,
Wydałem ja twe talary,
Moje serce stracę!

Grajcie skrzypki, bo się smucę
W opłakanym stanie,
Z konikami do dom wrócę,
Serce się zostanie.

Dłoń mu podała, a on w około
Przodkując drużbom tańczy wesoło,
A gdy do nowej piosneczki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.

Na to Halina zapłoniona cała,
Między teścine za stół uciekała:
Wiesław Staroście i matkom się kłania.
Słychać w około pokątne szemrania.
Długo gościnnie Wiesław się weselił.

Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewki i granie,
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krążą niewolne przy pięknej Halinie.

III.

Pospieszał Wiesław i lasem i polem,
Ale się ostać nie może przed bolem;
Bo kiedy miłość raz w sercu osiędzie,
Daremny namysł i rozsądek będzie.
Przeto, co myślał, co czynić przystało,
Stanowi wyznać i szczerze i śmiało.

Oczekiwany wjechał do podwórka,
Wybiegł gospodarz i matka i córka,
Głaszcze koniki i wiąże u płotu,
Cieszą się wszyscy z rychłego powrotu,
Z taniości kupna i koników radzi;
Ojciec do stajni wraz je sam prowadzi,
Prędką wieczerzę rozkazuje matce.
Skoro milczący Wiesław usiadł w chatce,
Matka go z córką c zdrowie pytały;
Milcząc, Bronice dał gościniec mały.

Przybył też razem i sąsiad ciekawy,
Dobry do rady, dobry do zabawy.
Jan, co za stołem niejednym już siedział,
Mądrze pomyślał i prawdę powiedział;
Ale się wszystkim dziwnie wydawało,
Że Wiesław smutny i mówił tak mało.
Wszedł i gospodarz—do stołu zasiedl',
Skromną wieczerzę przy rozmowach jedli,
A matka tylko baczna na Wiesława,
Przyczyny smutku pyta się ciekawa:
“Powiedz nam przecie, co tobie się stało,
Że smutny siedzisz i mówisz tak mało?
Milczący zawsze sam sobie zaszkodzi:
Nigdy młodemu skrytość się nie godzi.”
On spuścił oczy, wstydem się zapłonił,
Gospodarzowi do nóg się ukłonił,
I zaczął mówić słowy takowemi:
“Prawda, że szczerze trzeba ze starszemi,
Oni nieźrzałej młodości wybaczą,
I mądrą radą zawsze wspierać raczą.
Czemużem w domu nie został na wieki,
Wdzięczen łask tylu i waszej opieki?
Przy waszym pługu chodziłbym spokojny,
Anibym zaznał ciężkiej z sercem wojny.
Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi,
Inaczej myśli Bóg o swej czeladzi.
Prędki, bez wieści spada wyrok Boski.
Na mojej drodze pośród jednej wioski
Poznałem druchnę, której wdzięk uroczy

Zabrał mi serce i zniewolił oczy,
I zrobił tyle, że odtąd jedynie
Serce i dusza zawsze przy Halinie.
Ojcowie moi już królują w niebie,
Wyście sierotę przyjęli do siebie,
Cięższa jak kamień jest ludziom sierota!
Wyście litośnie otwarli mi wrota;
Nie żałowali i trosków i chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba.

Dla mnie na przyszłość w zamęźcie chowacie;
Jeszcze (mówicie) byłem dzieckiem małem,
Gdy się na przyszłość sobie kołysałem.
Ni mię niewdzięczność, ani harda dusza
Odkryć przed wami mój smutek przymusza,
Ale mi rada niedościgła w niebie
Was każe smucić, a zawstydzić siebie.
Puśćcież mię, puście, z rękoma gołemi,
Pracować będę pomiędzy obcemi;
Bo bez Haliny nic ja już nie zrobię,
Niezdatny ludziom i niemiły sobie.
Prędkobym znalazł koniec życiu memu;
Pobłogosławić chciejcież więc biednemu;
Bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni,
Kogo przekleństwo dobroczyńców goni.
Sprawcie! Bóg za to nad wami!"

Tu Bronisława zalała się łzami;
Stanisław milcząc, podparł siwą głowę,
I po ojcowsku rzekł słowo takowe:
"Kiedy twój ojciec żegnał ziemskie życie,
Ciebie mi oddał jak za własne dziecię;
Tak cię też kocham, i widzi Bóg w niebie,
Że nic milszego nie miałem nad ciebie.
A ty niepomny, że mię starość gniecie,
Chcesz na przygody puszczczać się po świecie;
Chcesz mię opuścić za to, żem cię chował,
Żem tobie przeszłość uczciwą gotował.
Nieszczęście wniesiesz do każdego domu,
Gdy mnie zostawisz wśród żalu i sromu.
Młody, niebaczną wziąłeś przed się drogę,
Ja cie przeżegnać, ja puścić nie mogę."

Płakali wszyscy; Jan milczący siedział,
Gdy się namyślił, tak mądrze powiedział:
"Stary młodemu wyrozumieć nie chce,
Młodego nowość i swoboda łechce;
Zwiąż go miłością i obsyp go zbiorem,
On dalej patrzy, bo mu świat otworem,
Nieszczęściem jemu najmilsza niewola.

Tak i na wiosnę ptak okrąża pola,
Płochy i dumny w siłę swoją młodą,
Rzeki i skały przebywa z swobodą,
Aż miłym głosem zwabiony zostaje,
Spuszcza się, jedne by zamieszkał gaje;
I lube szczęście i pokój znachodzi:
Te prawa mają, tę naturę młodzi.

Za nic mu wszystko, gdy na całe życie
Wolną mu teraz drogę zagrodzicie.
Nie w nim też może dla Broniki szczęście,
Z woli ma kwitnąć niewolne zamężcie:
Jako kwiat córka obcej ręki czeka,
Wolny młodzieniec szuka jej zdaleka;
Dla tego wolność dajcie Wiesławowi,
O własnem szczęściu niechaj sam stanowi!"
Na to Stanisław: "Wiele Janie wiecie,
Ale nie znacie, co to stracić dziecię.

Dla czego ojciec w troskach życie trawi,
Czem się wiek długi i smuci i bawi,
Z czem żyć nawyknie i pracować w domu,
To bierze przybysz nieznany nikomu.
Bierze dobytek krwawo dochowany,
I puste ojcom zostawuje ściany,
Gdzie zapomnieni zamotne łzy sączą,
Gdy córkę inne obowiązki łączą.

Przeto od dawna były myśli moje,
Bym ich przy sobie połączył oboje,
Ażeby matka kiedyś po mej stracie,
Teścinej w obcej nie służyła chacie;
Lecz myśli niczem, gdy Bóg nie dozwoli,
Przeto Wiesławie zostawiam twej woli,
Uproś sąsiada, wezwij jego rady,
Może sam z tobą uda się na zwiady:
Jeźli twa przyszła serce tobie święci,
Jeźli rodziny poznasz dobre chęci,
Uprośże Jana, niechaj zacznie swaty,
Jak syn synowę przywiedź mi do chaty."

IV.

Idzie Jan z tęsknym Wiesławem na zwiady,
Wiesław daleko przed nim znaczy ślady,
Bo go i miłość i młodzieńcza siła
Przez góry, doły prędzej prowadziła;
A kiedy przyszli, gdzie mieszkała córka,
Taką pieśń nucą za płotem podwórka:

Grzęda kwiatami osnuta,
Kwitnie rozmaryn i ruta,
Na okienku wianek leży;
Jest tu córka dla młodzieży.
Przyjdzie młodzian z obcej błoni
Ojcu, matce się pokłoni;

Schludna chatka, choć uboga,
Za rządnością pomoc Boga.
Sroka skrzeczy na jaworze,
Panna stroi się w komorze.

Zerwie Panna swoje kwiaty,
Do teściowej pójdzie chaty.
Raz ostatni rozmaryny
Uwieńczycie skroń dziewczyny.
Zielona ruto na grzędzie,
Nikt cię polewać nie będzie.

Otwierajcie, przyszli goście,
I ochoczo w dom zaproście;
Chociaż obcym bądźcie radzi,
Dobra nas tu chęć prowadzi.

Wyjrzała oknem od kądzieli matka,
Skrzypła zapora, otwarła się chatka.
Wszedł Jan sędziwy, Wiesław okazały,
Głową wyniosłą dosięgnął powały,
A matka rzekła: "Witajcie nam goście!
Siądźcie i z Bogiem dobrą myśl przynoście."
Z komory wyszła Halina z rumieńcem,
Skłoniła głowę przed znanym młodzieńcem;
A Jan powiedział: "Oj widzę, że godne
I starca drogie lica tak urodne."
Kiedy Halina słyszy taką mowę,
Rumianych wdzięków przybyło połowę.
Koszyk podróżny zdejmuje z młodziana,
Bierze i laskę sędziwego Jana;
Wnet ławkę czystą do stołu przynosi,
A matka gości do spoczynku prosi.
Mówi do ucha wstydliwej Halinie:
"Niech się roznieci ogień na kominie,
Niech będzie rychło wieczerza gotowa."
Jan gdy odpoczął w te przemówił słowa:
"Wszak gospodyni przez to nie obrażę
Czyniąc, co dawny obyczaj nam każe.
Ojców zwyczaje, toć krewieństwo nasze,
Przeto Wiesławie daj z koszyka flaszę,
A gospodyni kubka nam udzieli,
Miernie użyty kubek rozweseli;
Smielszemi czyni ukrywane chęci,
Serce roztkliwi i na jaw wyświęci,
A jak oblicze oglądamy w zdroju,
Tak wiernie dusza wyda się w napoju.
Pszczółki na ziemi pierwsze gospodynie,
One po całej opatrznej krainie
Zbiorów szukały; ochronne przy zgodzie,
Wzbudziły przemysł i w ludzkim narodzie.
A jak na wiosnę gospodarna pszczoła,
Gdy się sad bieli i wonieją zioła,
Niesie w ul siostrze uzbierane miody,
Tak niesie młodzian z rodzinnej zagrody
Kubek słodyczy przy życzliwej chęci

Tej, które serce niewolne przyświęci;
Bo równa pszczole jest miłość wieśniacza,
Słodycz i zgodę i pracę oznacza."

Podała matka kubek na te słowa.
Poszła do serca wszystkim Jana mowa;
Bóg go też wielkim rozumem obdarzył,
Już on niejednę rodzinę skojarzył,
Starostą bywa na każdem weselu,
I chrzestnym ojcem zwą go w domach wielu,
Przeto, gdziekolwiek przyjdzie w odwiedziny,
Jest jakby w domu u swojej rodziny.

W podany kubek nalał Wiesław miodu:
"Przyjmij tę kroplę z obcego ogrodu,
Piękna Halino, jak tobie słodyczy
Na całe życie serce moje życzy."
Na to Halina pytającym okiem
Patrzy na matkę.—Odwrócona bokiem,
Białe odzienie zarzuca na głowę;
Tak zasłoniona wypija połowę.
Połowę Wiesław wypełnił aż do dna,
A jako zorza wśród lata pogodna,
Rumianym wstydem jaśniała Halina.

Jan dziewosłęby w te słowy zaczyna:
"Kiedy tak córka chęć życzliwą dzieli,
Już do was, matko, mówić mię ośmieli;
Gdzie młodzież idzie za serdeczną władzą,
Niech ją z namysłem starsi doprowadzą;
Młodość nie widzi przyszłości, nie bada,
Jako w kochaniu ufność w losie składa,
A to oddzielne, nieprzyjemne rzeczy,
Szczęście więc starsi muszą mieć na pieczy;
Wszystko opatrzyć, otwarcie pogadać,
A zresztą ufność na Boga zakładać.

Zacnego domu widzicie tu syna,
Chociaż pod ziemią śpi jego rodzina;
Ma przecież ojców, co litością zdjęci,
Mając kumostwa powinność w pamięci,
Nie żałowali dla sieroty chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba;
Sprawiał się godnie, że go synem zowią
I część chudoby dla niego stanowią.
Nie jestci u nich gospodarstwo liche,
Praca sierpowa nie idzie pod wichę.
Co tydzień wniesie, nie straci niedziela,
Bóg też pomocy rządności udziela:
Czystą pszenicę czarna niesie rola,

Wełniste owce zabielają pola,
W schludnej stajence bydełko się chowa,
A cztery konie jadą do Krakowa.
Z ich to ramienia do was ja przychodzę,
Poznał się Wiesław z Haliną na drodze;
Jak pewno wiecie. — I ojcom wyjawił,
Że swoje serce w jej sercu zostawił.
Na co Stanisław rzekł mu słowem takiem:
Jesteś mi prawda w domu jedynakiem;
Lecz jeźli miła serce tobie święci,
Jeźli rodziny poznasz dobre chęci,
Uprośże Jana, niechaj zacznie swaty.
Jak syn synowę przywiedź mi do chaty.
Te słowa matko! wiernie wam odnoszę,
I w imię ojców, o córkę was proszę.
Niechaj Bóg dobre rodziny jednoczy!
Nie chcę młodego wychwalać wam w oczy.
Często pochwała choć i słuszna szkodzi,
Bo lepiej, kiedy nie znają się młodzi.
Zawcześnie już się u celu być mienią,
Raz pochwaleni, przestrogi nie cenią.
Choć pracowity, choć pokorny w domu,
Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu:
Zajechać drogę choćby Wojewodzie,
Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie,
Z karczmy rozpędzać cesarskie wojaki,
Wyśmiać wędrownym Góralom chodaki:
Toć były jego dotąd obyczaje! —
Młodemu wszystko zarówno się zdaje.
Bo jak na wiosnę pędzi potok biegu,
Pieni się, szumi i wylewa z brzegu,
Aż dalej cicho upływa w korycie;
Tak młodzian siłą obdarzon obficie
Musi wyszumieć, aż w troskach stateczny,
Jak jabłoń z czasem traci kwiat zbyteczny.
Zna Wiesław łaskę i niełaskę nieba,
Kto użył biedy, poznał cenę chleba;
Zawsze też dobra i stateczna żona
Resztę wychowu w młodzianie dokona.
Douczy myśleć, jak dobytek zbierać,
Jak się na przyszłość zwodliwą obzierać.
To wam powiadam o moim Wiesławie,
Bom mu był świadkiem od dzieciństwa prawie."

Baczna Halina, stojąca na boku,
Śledziła prawdę w Wiesławowem oku.
Jan mówiąc prawdę, wiedział, że nie ranił,
Dziewczęta lubią błędy, które ganił.

Ale łza błysła w źrenicy młodziana,
Potem się nizko skłonił do nóg Jana;
Skłonił się matce, milcząc, pełen sromu,
I było długie pomilczenie w domu.
Wtenczas Halinie równie łzy wytrysły;
Jako na wiosnę nad brzegami Wisły,
Gdy wonny deszczyk obłoki wyleją,
Kwiaty zroszone błyszczą się nadzieją,
A razem słońce za górami świeci.
Tak gdy z otuchą łzy roniły dzieci,
Jan z matką na nie poglądali z boku.
Miła pogoda jaśniała im w oku.

Rzewniło matkę niespodziane szczęście!
Nie dla Haliny bogate zamęźcie,
Która sierota bez ojca i matki
Wiana nie miała, ni rodzinnej chatki.

W szczerości zatem, jak każe sumienie,
Takie Janowi czyni oświadczenie:
"Jest Bóg widzący na niebieskim dworze,
Doświadcza ludzi w szczęściu i pokorze;
Czy kogo nizko, czy w górze posadzi,
Wgląda, jak wszędy człowiek sobie radzi.
Halina moja, co w ubogim bycie
Przepracowała dotąd ze mną życie,
Nie wierzy słońcu, które niespodzianie
Przed nasze teraz błysnęło mieszkanie.
Na stan jej nizki wysoka jagoda,
Nie dla sieroty jest kmieca zagroda:
Ani ma ojców, ani przyjacieli,
Coby o wianie dla niej pomyśleli.
Przeto młodzieńcze! niech cię Bóg poświęci
Za dobre serce i życzliwe chęci;
Teraz usłyszcie o losie Haliny,
I to do waszej odnieście rodziny:

"Gdy się los zawziął na polską koronę,
Szedł mój mąż z kosą z braćmi na obronę,
I już nie wrócił. — Obcy bez litości
Grabili dwory, zapalali włości;
Doznał, co trwoga, kto pomni te czasy!
Starce i matki pokryły się w lasy,
Ale i w lesie płoną ogniem sosny,
Byłci to widok straszny i żałosny.
Gdy ta ostatnia gorzała uchrona,
Milami wielka rozciągła się łuna,
Dzieci i żony błądziły tłumami
Przy drodze, na to patrzyłam ze łzami.
A że mi dziecię zastąpiło drogę,

Do serca — płacząc — tulę jako mogę,
Pytam o imię, rodzinę, mieszkanie,
Ale daremna proźba i pytanie;
Dziecię zaledwo swoje znało imię,
Mówiło tylko, że w okropnym dymie
Nieznani ludzie wiedli je do lasu;
Więcej nic nie wiem. Aż do tego czasu
Wzięłam sierotę, choć sama uboga.
Podjęłam troski, lecz była ich godna,
Wyrosła zdrowa, pracowna, urodna;
Obiedwie teraz pracujem na siebie,
W jednych żyjemy troskach i potrzebie.
Pracą łagodząc ubóstwo uporne,
W cudzej zagrodzie siedzimy komorne
Bez skiby ziemi. — Jałówka, dwie krówek,
Kilka owieczek, cały nasz dochówek.
W lecie sąsiadom pracujem przy żniwie,
Za to nam zagon odstąpią na niwie:
Tak len siejemy, a wieczorna przędza
Resztę domowej potrzeby opędza.

Brzmią tu wesela na każde odpusty,
Lecz to nie dla niej, nie dla niej zapusty,
Na których dziewkom kupują pierścienie.
Tam gdzie stodoły i bogate mienie,
Tam zalotnicy. — Nie zwabi młodziana
Przepyszna córka bez ojców i wiana —
Jak była dotąd niebieska opieka,
Tak przeznaczenia u Boga niech czeka.
Ufam, że póki niemoc mię nie strawi,
Już mię Halina samej nie zostawi."

Na to Halinie łza z oczu wytryska,
Klęka przed matką i kolana ściska:
"O miła matko! tyś-ci moje wiano;
Choćby mi góry złociste dawano,
Choćbym mieszkała w malowanym dworze,
Jedwabne szaty chowała w komorze,
Tobym bez ciebie przepłakała życie."
Tak się ściskały, lejąc łzy obficie,
A Jan myślący bacznie radość chowa,
Wykraść się chciały niecierpliwe słowa,
Bo dusza była pełna ważnych myśli;
Na twarzy tylko wesele się kreśli.

Chciał mówić Wiesław, ale go Jan bacznie
Ostrzega cicho, i tak mówić zacznie:
"Ważne mi, ważne zwiastują się rzeczy!
Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma na pieczy,
Chwała mu wieczna! — Miła gospodyni

Niechaj z ufnością, co powiem, uczyni,
Bo z serca idzie szczera moja rada:
Uproście koni z wozem u sąsiada,
A tę życzliwość hojnie mu wrócimy,
Bo wszyscy w drogę wybrać się musimy.
Szczęścia spólnego nadeszła godzina,
Pozna Halinę Wiesława rodzina".

V.

Wartko wóz toczą parskające konie,
Mijają bory i mostki i błonie.
Cała drużyna siedzi zadumana,
Wesołość tylko nie opuszcza Jana:
Gada powiastki, żartuje ochoczy,
Że córka często musi zakryć oczy;
Sam radość w sercu zatajoną żywi.
Że dwie rodziny w rychle uszczęśliwi. —
Przydrożne lipy długie ścielą cienie,
Gore nad lasem niebieskie sklepienie,
I rzeźwą wonią sieje wiatr pogodny.
Jest blisko drogi gościniec wygodny,
Tam każą stanąć; bo choć wioska bliska,
Ale ją dzielą zbłotniałe stawiska,
Przeto, nim w okół jadący okrąży,
Pieszy ścieżkami trzykroć pierwej zdąży.
Idą więc wszyscy ścieżkami wesoło,
A wóz pył wznosi okrążając koło.
Dziwnie Haliny twarz się uwesela
Swawolna, więcej mówić się ośmiela.
Przebyli kładki i zaczepne krzewy;
Z błonia pastusze ozwały się śpiewy,
Które jej bardzo do serca trafiły:
Tak na weselu nucił Wiesław miły.
A Jan uważnie pogląda jej w lica,
Czy jej nie będzie znaną okolica.
Wtem uroczyście od kościelnej wieży
Dzwon do modlitwy głos po rosie szerzy.
Pobożnie wszyscy padli na kolana,
A twarz Haliny od zorzy oblana
Podobną była do twarzy anioła,
Ale tęsknocie wytrzymać nie zdoła,
Do dziwnych marzeń głos dzwonka ją skłonił
I słodki smutek kilka łez wyronił.
A idąc dalej na wzgórku stanęli.
Już tylko wioskę jedno błonie dzieli;
Z którego gwarząc rozpierzchłe pachołki
Spędzają na most i krówki i wołki.

Skrzypią z ról czarnych wracające pługi,
A cała wioska, jako ogród długi
W sadach kwitnących niskie strzechy kryje,
Z których dym kręty ku niebu się wije,
A stary kościół z wysokiemi szczyty
Nad wsią panuje lipami okryty;
Wieża, z której dzwon o milę donosi,
Już pogrzeb piątym pokoleniom głosi.
Gdy tak na wszystkie poglądają strony,
Jan się zapytał na laskę schylony:
"Jak ci się zdaje to nasze siedlisko?
Chata Wiesława już tu bardzo blisko".
Ale Halina w jednę patrzy stronę,
Bijące łono, usta otworzone
Poznać dawały wielkie zadumienie,
Błogie się w serce cisnęło wspomnienie....
Nie mogła mówić, bo w takowym stanie
Każdy jej oddech zajmowało łkanie.
Dalej przy miedzy, naprzeciwko chaty
Stoi krzyż Pański pochylony z laty,
W około wierzby i zielona trawka,
Tam wiejskich dzieci niedzielna zabawka.
Tu już Halina pada na kolana,
W dłonie uderza i mówi do Jana:
"O mocny Boże! toć moja rodzina!
Gdzie moja matka, gdzie matka jedyna?
Jeźli już w grobie, na grób jej pójść muszę,
Stęsknioną ku niej niech wypłaczę duszę.
Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiaty,
Ale nie widzę rodzicielskiej chaty,
Bo tu inaczej wszystko dawniej stało,
Nie tak jak mi się w pamięci zjawiało."
Tu Jan powiedział: "Bóg co cię ratował,
I twoich ojców przy zdrowiu zachował,
Zostawił wszystkich przy pracy spokojnie;
Wzmogli się ludzie po ostatniej wojnie.
Chatę i córkę stracili w potrzebie,
Podziękuj Bogu, żeć drugą dał matkę,
Co cię w rodzinną odprowadza chatkę!"
Halina wszystkich ścisnęła koleją,
Wszyscy rozkoszne łzy radości leją.

Weszli w podwórko, lecz ojców nie było;
Patrzy Halina, co się odmieniło,
Spokojnie ojców od pola czekali,
Żeby Halinie wypoczynek dali.
Już też Stanisław idzie z łąki z kosą,
Idzie i żona, konicz krówkom niosą.

Naprzód z bławatem szła Bronika mała,
Gości w podwórku ojcom wskazywała.
Chciał Jan, by Wiesław naprzeciw pośpieszył,
Aby wprzód matkę szczęśliwą ucieszył. —

Jak się witała rodzina złączona,
Jedno drugiemu oddając do łona;
Jakie pytania, dzięki, odpowiedzi,
Jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi;
Jako Bronika starszą siostrę ściska,
Nie znając straty, czując co zyska:
Tego wam moi, mili towarzysze
Tak, jakbym pragnął, nigdy nie opiszę.
Na tem więc kończę — bo wy, co czujecie,
Lepiej to sobie w sercu opiszecie.



DWA PSALMY

Zygmunta Krasińskiego.

———o———

PSALM NADZIEI.

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —
Wszystkim ciała dał Jehowa —
Duszę wszystkim Chrystus dał,
A Duch święty żywot chowa,
By wraz ciało z duszą zlał!
Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel!
Niedaleki — nam przed wieki
Obiecany Pocieszyciel!
Oto idzie już godzina;
Poznan będzie — niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty! —
A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą cię na niebie;
Lecz niewinnie umęczony,
Ten, o Duchu! ujrzy Ciebie!
Kto lat tysiąc wieku strawił
Kościół broniąc od poddaństwa!
Milionową pierś wciąż krwawił,
Aż rozdeptał gad pogaństwa!
Kto śród ludów nie miał brata —
Ten, na czyim już pogrzebie
Były wszystkie króle świata,
Ten, o pierwszy, ujrzy Ciebie!
Bo choć krwawy — choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyma w niebie!
A kto patrzy w Ducha strony,
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

———o———

Ni zmysł kupców, ni dłoń kata

Przeciw prawdzie nie pomoże!
O przyjdź prędzej wiosno świata!
O przyjdź prędzej Duchu Boże! —
Wszak my duchy, Duchu święty
Wiecznie wstajem z własnych kości —
Wszak jak Chrystus wniebowzięty,
Wniebowstąpim w Raj miłości?
Wszak my jedni i ciż sami
Tylko coraz wyżsi, Panie?
I garniemy się wiekami
W ostateczne Zmartwychwstanie?
Jawem życia — czy snem w grobie
Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiośnie
Kwiat niebieski duch nasz rośnie,
Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!
Kto opisze — kto opowie?
Bóg jest jeden — jeden — sam!
Przecież w Bogu dano nam,
Że my będziem jak Bogowie!

———o———

Lecz wprzód ziemia ta stroskana
Pokój przyjąć musi wszędzie!
Wszak kazana w imię Pana
Ewangielia wieczna będzie!
Wszak z planety, co się rościął
Na odłamków tyle — tyle —
Będzie jeden świat i kościół!
Daj nam, Duchu, daj tę chwilę! —
Chrystusowy uścisk bratni
Gdy okoli wszystką ziemię,
Wejdzie, wejdzie wiek ostatni,
I ostatnie ludzkie plemię.
Żegnaj ziemio z bólem, z żalem!
Wszędzie święte ze świętemi —
Nowe błyszczy Hieruzalem
Na padole starej ziemi!
Długa droga — trud był ślizki —
Krwi płynęło i łez morze!
Lecz anielstwa czas już blizki
Pójdą — pójdą w Ciebie, Boże!

———o———

Tak wam z krzyża, a plemiona
Dziś proroczy Polski naród:
Choć mówicie: “Ot, już kona.”
W nim przyszłości waszej zaród. —

Polsko! Polsko! grób twój tylko
Był kołyską nowej zorzy —
Śród wieczności jedną chwilką,
W której począł się dzień Boży!
Czas już zedrzeć z wieku chmurę!
Idącego Pana chwalmy!
Rzucać palmy — rzucać palmy —
Kwiaty na dół — pieśni w górę!
O! rzucajcie pieśni, kwiaty,
Oto idzie — idzie Pan;
A nie smętny jak przed laty,
Wolny cierni, gwoździ, ran! —
Przemieniony, z niebios szczytu
Z nad wszechświata gwiezdnych ścian,
Jak widnokrąg wszechbłękitu
Ku nam spływa — spływa Pan!
O! ten błękit pijcie duszą,
A wam wszystko zbłękitnieje!
Choć was męczą, choć was kuszą —
Uwierzycie w mą nadzieję.
Niech was darmo nie przestrasza,
Że dziś podłość górą wszędzie!
Z wiary waszej, wola wasza,
Z woli waszej, czyn wasz będzie!
Nie powróci stara klęska —
Duchom — duchom tryumf dan!
Oto idzie moc zwycięzka,
Panujący idzie Pan!
Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal!



PSALM DOBREJ WOLI.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
Tysiącoletnie dałeś panowanie,
Ubrane w śnieżne przedchrześciańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty! Twego syna
Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić dzieje,
Z Polski ojczyzna w przyszłości jedyna
Co z piersi miłość a nie rozbój sieje;
Co mieczem tylko świat ewanieliczny,
Gardzi grabieżą — nie garnie zdobyczy;
Spaja się z braćmi a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!



Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Gdyśmy zstąpili z życia Kapitolu
W porozbiorowej doliny otchłanie,
Zmarłych żywemiś trzymał na walk polu!
Choć nas nie było, przecieśmy bywali
Ponadgrobowo — choć w grobie złożeni —
Na bojowiska każdego przestrzeni,
Z orłem ze srebra i szablą ze stali!
Do serc wsmętnionych w cierpienia czyśćcowe
Wlewałeś życie śród nicestwa nowe —
Wiecznieś nas kąpał w jakiejś dziwnej cnocie —
Wrzekomo trupy — duchy w istocie. —
Co elektrycznych nadziemnych strumieni,
Wszystkieś zgromadził w okół naszych cieni,
By nam powrotne, wstające z mogiły,
Na wstyd Europie — ciało uiskrzyły!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!



Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża —

krzyż — lecz taki co do gwiazd twych zbliża —
Najwyższe dałeś w czasie powołanie!
Tchem dzieje świata Tyś przegiął jak kłosy
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa —
Ziemiś nam ujął, a spuścił niebiosy,
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa!
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić;
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić!

Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każden, że twój zamysł czeka
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem!
Z wolnością tylko twój Duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

———o———

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Przykład nieszczęsnej twej Hierozolimy,
W której tak długo było Twe kochanie,
Aż się rozwiała w perzyny i dymy
Rozdarta w sobie — a zemstą do końca
Przeciw ludzkości całej szalejąca!
I ona kiedyś miała być królową
Pogańskim katom, świecącą w koronie!
Lecz że wciąż śniła o tych katów zgonie,
A dość Twych iskier nie miała w swem łonie,
By nad nich podnieść się życiem na nowo,
Odkrólewszczona — i stała się wdową.
I dotąd płacze na Twojego Syna
Za to, że plemion toporem nie ścina,
Jedno krzyż wziąwszy w zmartwychwstałe dłonie
Światy obala, gdzie tym krzyżem wionie!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

———o———

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
W ciemięzcach naszych sprośne gwałtu wzory,
Szkaradne rzezie i niecne zabory,
Za które dzieciąt przeklina ich łkanie,
Za które sami, z łaski twej promieni
Jakby z pancerza już odpancernieni

Stoją w nagości popełnionych czynów,
Bez starożytnych na głowie wawrzynów,
Z żałób największą okryci żałobą —
Hańbą serc własnych zhańbionych — przed Tobą!
Nie drugich śmiercią — lecz własną bezpłodnie
Kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie!
Żadna z nich żadnych nie ma przywilei —
Król czy gmin jaki dopuści się zdrady,
Słowu Twojemu — przepada z kolei!
Aniołów nawet przepadły miriady!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzęsić siebie!

———o———

Wszystko nam dałeś, co dać mógłeś, Panie!
My nad otchłanią, na ciasnym przesmyku —
Skrzydła nam rosną już na zmartwychwstanie,
Usta rozwarte do wesela krzyku —
Ku nam z błękitów, jakby z Twego łona
Złote jutrzenki, jakby Twe ramiona,
Spieszą już na dół od nieba po ziemię,
By nam zdjąć z czoła wiekowych klęsk brzemię.
Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony,
Anioły patrzą, a tam z drugiej strony
Ciemność pod spadem bezgłębnym wybrzeża!
I pnie się, wzdyma, rośnie, ku nam zmierza —
Przepaść, śmierć wieczna, w której niema Ciebie,
Co od początku złych i pysznych grzebie —
A sama pychą i złością i swarem
I mężobójstwem onem, jak świat starem,
I kłamstw i bluźnierstw rozkipionych warem!

I wstała siwa w pasach czerwoności!
W czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie!
Rdzę z krwi pokoleń i gruzy i kości
Na swych topielach piętrzy ku wyżynie:
Gdzie w pół nad grobem, a w pół jeszcze w grobie
Stoim w tej pierwszej odrodzenia dobie!
Jeźli zawrotnem na nią spojrzym okiem,
Jeźli się jednym ku niej ruszym krokiem,
Wnet zórz nam światło pobladnie na skroni
I Syn nad nami Twój łzy nie uroni,
I Duch nie będzie nam pocieszycielem!
Na dnie jej sobie nicestwo pościelem!

Zmiłuj się, Panie, broń nas, bądź Ty z nami!
Nie! — darmo — teraz tu stać musim sami!
Ach, wiem! — ta chwila już do nas należy;

W ostatniej losów tej naszych przemianie
Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży!
Wszystko nam dałeś, co dać mógłeś, Panie!

Lecz wspomniej, wspomniej, żeśmy dawne sługi —
Że nim wiek począł się ten dziejów drugi,
My w przeszłym wieku Twój nakaz już czcili
I nie czekali chwil spełnionych chwili,
By uznać Ciebie za ziemskiego władcę
W Królowej Polskiej — Twojej ziemskiej matce!
Odkąd z mgły czasów naród wyjawiony,
Z ciał polskich — polskich dusz wyszło miliony
Z Jej świętem w śmierci na ustach imieniem!

Niech im dziś Ona odwspomni wspomnieniem;
Niech w wielką zmarłych tych ubrana chmurę
Na tych niebiesiech do Ciebie się modli,
By nie związali nam stóp dążnych w górę
Szatani z piekła — lub też ludzie podli.

Spojrz na nią, Panie! — gdy z dusz onych rzeszą,
Co w okół wieńcem powietrzanym spieszą,
Zwolna ku Tobie wznosi się bezmiarem;
Wszystkie się ku Niej gwiazdy rozmodliły,
Wszystkie w przestworach wirujące siły
Zmiękły pod smętnym rozrzewnienia czarem!
Coraz to wyżej — jakby na promieniach
Wschodzi niesiona na tych białych cieniach,
Płynie w lazury, za dróg mlecznych chmury,
Płynie za słońca taka bielejąca,
Coraz to wyżej do góry — do góry!

Spojrz na nią, Panie! — Śród Serafów grona
Oto u progu Twego rozklęczona —
A na Jej skroniach lśni polska korona. —
I płaszcz błękitny zamiata promienie,
Z których tam przestrzeń — i wszystkie przestrzenie
Czekają; modli się bardzo po cichu —
Po za Nią stojąc, płaczą ojców mazy.

W dłoniach Jej śnieżnych jakby dwa puhary
Krew Twoję własną w prawym Ci kielichu
Podaje, Panie; a w lewym, co niżej,
Krew krzyżowanych na tysiącach krzyży,
Poddanych swoich — krew płynną przez lata
Po wszystkich ziemiach, pod mieczem trój-kata!

I boskim, tamtym wzniesionym kielichem
Błaga drugiemu przełaski twej Panie!
Przepaść tymczasem wielkim huczy śmiechem —
Podplanetarnych fal jej słychać granie;
Wężowych głębin splotami wciąż toczy,

Mgłą, wichrem, pianą zalewa nam oczy,
By nas prześmiertnić w kłamce i morderce!
Nie widzi marna, że niczem jej burze,
O Panie! Panie! więc nie o nadzieję,
Jak kwiat się sypie — więc nie zgon wrogów —
Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje.
Więc nie o przestęp smętarzowych progów
Przebyteć, Panie; ani o broń władną,
Z wichrów nam spada — ni o pomoc żadną —
Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole!

Lecz śród tych zdarzeń strasznego wybuchu
O czystą tylko błagamy Cię wolę
Wewnątrz nas samych — Ojcze, Synu, Duchu!
O Ty najdroższy, wszędzie utajony,
Widny z za światów przejrzystych opony,
Wszędzie przytomny, nieśmiertelny, święty,
W serc i gwiazd wszelkim mieszkający ruchu,
Co tak gwiazd bunty rozwiewasz na szczęty,
Jak serc przewrotność — Ojcze, Synu, Duchu,
Ty coś rozkazał człowieczej iściznie
By nędzną siłą i kolebką mała
Przez moc ofiary się wyanielała —
I polskiej naszej rozkazał ojczyźnie
By wwiodła w miłość i mir ludy bliźnie
Niezatraconej praworci przykładem,
Choć wciąż pod głazów grobowych opadem;
Wszystkich tych ludów otruwana jadem! —

Ty, co w dziejowych odmętów rozruchu
Wściekłych piorunem przybijasz do darni —
A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni,
Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże —

A światu mężcy. My, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogom twoim,
Błagamy Ciebie razem z naszą Panią,
Co za nas twego doprasza się słuchu,
My zawieszeni pomiędzy otchłanią
A twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen twych kąpani dmuchu,
Czasów pryśniętych otoczeni kołem
I państw ginących -- Ojcze, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serca czyste —
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr twych dobro — daj nam dobrą wolę!

Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!



BITWA RACŁAWICKA

......przez......

Teofila Lenartowicza.



Nie przeminieć co minęło,
Nie wydrzeć z pamięci;
Choćby człowiek rad zapomnieć
Wraca mimo chęci.
Tyle czasu przeminęło,
Mój ty mocny Boże!
Pług zaorał ludzkie kości,
A serca nie może...
Cud prawdziwy,
Wstają dziwy,
Podnoszą się z ziemi,
I to słońce Racławickie
Świeci się nad niemi.
Jak przed laty jasno, krąsno,
W polu uroczyście,
Wyrastają dawne czasy,
Jak wiosenne liście.
Młoda wiosna
Niesie krosna,
Świeżą trawę miękką,
Konwalije
I lilije
Dzierżga złotę ręką;
Ciepły wietrzyk jej pomaga
Wiejąc od zachodu;
Kwiat się wdzięczy,
Pszczółka brzęczy,
Będzież, będzie miodu.
Woda wzbiera,
Radość szczera
W piersi ludzkie wchodzi;
Przez mokrzydły
Długoskrzydły
Nasz gospodarz brodzi.
Coś to będzie, coś to będzie,
Prosty naród gwarzy:
Wcześnie lato zawitało,
Może Bóg co zdarzy.
A też orły co na wschodzie
Krążyły, latały:
Ruski, pruski, austryacki
I nasz polski biały?
Jak się biły nad obłokiem
Widział naród wszelki;
Jaka była bójka sroga,
I jaki krzyk wielki.
Oj! nie wszystko próżne mary
Co się człeku marzy,
Przypłynęły trzy galary
Krakowskich węglarzy;
Przypłynęły trzy galary
Na nich ludzie czarni;
Lecz gdy w sercu twem nie czarno,
K' sobie ich przygarnij.
Przypłynęły z dobrą wieścią,
Jak bociany z wiosną,
A ludzie się przysłuchują,
Aż im serca rosną.
I porosły im tak serca,
Że aż pierś rozparły,
Rade by już wyskoczyły,
Rade się wydarły.
Nad obszarem
Rankiem szarym
Wschodzi jasna zorza;

Zorza wschodzi z po za świata,
Kościuszko z za morza.
Ptak szczebiota,
Zorza złota
Pobudziła ptaki,
A Kościuszko budzi ludzi,
Krakowskie wieśniaki.
I było tam ludzi wiele
Przed Panną Maryą;
Trąby grają, serca tają,
Straże w bębny biją;
A pośrodkiem
Z licem słodkiem,
Jak chłopek pośledni,
Polak dzielny,
Wódz naczelny,
Za nim ludzie biedni.
I przystanął przed kościołem
I przysiągł się Bogu,
Że nam wszystkie krzywdy nasze
Odbije na wrogu.
Przysięgli mu posłuszeństwo
Na tę Bożą mękę,
Wszyscy zgodnie na starszeństwo
Wyciągnęli rękę.
Podpisali Krakowiany,
Radne pany stare,
I chłopy się zapisali
Krzyżem na ofiarę;
Duszą, ciałem,
Sercem całem
Polski lud się łączy:
Ma się skończyć nasza bieda,
Niechże się raz skończy!
I zadzwonił na Wawelu
Stary Zygmunt z wieży;
Nie wstrzymany, rozmachany
Głos po kraju bieży.
Rosa rosi,
Wiatr roznosi
Radość niepojętą:
Dzwon potężny,
Lud przysiężny,
W Polsce wielkie święto.
Bodajże was, bodaj, bodaj,
Węglarze! węglarze!
Za to z wami Krakowianka
Potańcuje w parze.
Serce bije niecierpliwie,
To groźno, to rzewnie,
Lada ranie
Na powstanie
Przyjdzie rozkaz pewnie.
Alboż nam to na pańszczyznę,
Albo na odrobek,
Wszak to bracia za ojczyznę,
Woła ojciec Sobek.
Posprzedajmy woły z wozem,
Sprzęty i poduszki,
A ruszajmy za obozem
Naszego Kościuszki.
Kowalczyki ognia krzeszą,
Aż się serca cieszą;
Przyciągnęli wóz okuty
Ze starą lemieszą,
Takiej pracy,
Krakowiacy,
Polska nie pamięta;
Kowal kuje,
Nie żartuje,
Kują kowalęta.
Szyna szczęka,
Gnie się, pęka,
Kowale się pocą;
Co rozpalą,
Ciągną, walą,
Młotami łomocą:
Łupu cupu, raz po razi
Pot zalewa oczy,
To młot grzmotnie po żelazie.
To iskra odskoczy.
Przez dzień cały biją młoty,
Odpowiada błonie;
Jedni kują kosy, groty,
Drudzy kują konie.
Gospodarskie
Konie dziarskie
Od wozu odprzęgli;
A węglarze noszą wory
Laryszowskich węgli.
Hej bocianie, ty bocianie,
Ty moja pociecho!
Stoisz ci ty, dumający,
Nad wieśniaczą strzechą,

Stoisz ci ty, ptaku miły,
Od rana do zmierzchu,
Powiedzże mi, przyjacielu,
Co tam widać z wierzchu?
Mądry bociek
Myśli dociekł,
Wejrzał na wsze strony,
Zmrużył oko
I szeroko
Rozwarł dziób czerwony;
Gardło wygiął z całej siły
I począł kołatać,
Aż się wzięli wszyscy ludzie
I bociany zlatać.
Maszeruje polskie wojsko
Prosto od wiatraku,
Czerwienią się chłopskie czapki,
Jakby nasiał maku.
Jedzie, jedzie nasz Kościuszko,
Pod nim konik siwy,
Co naczelnik, to naczelnik,
To już nasz prawdziwy.
Polska dusza w polskiem ciele
I w polskiej sukmanie,
Jedzie, wiedzie na Moskali
Krakowskie powstanie.
A lud za nim
Z przyśpiewaniem,
Jak pszczoły za matką;
Nie założy chłopu drogi
Niemiecką rogatką.
Na wojenkę
Kosa w rękę,
Kobiałka przez ramię,
A na piersi w Imię Ojca
Przenajświętsze znamię.
I niech teraz deszcze leją,
Niechaj sypią grady,
Chłopi grzmocą
Dniem i nocą,
Bo już nie ma rady.
Nikt nie zgadnie, co wypadnie,
Siła ludu padnie;
Czyja kosa
Nie tknie prosa,
Co mu wschodzi ładnie.
Nikt kalectwa nie nagrodzi,
Ni wieku niedoli,
Tylkoć że to za ojczyznę
I rana nie boli;
I to szczudło nie zaciąży
I torba dziadowska;
Kto wziął rany,
Ten kochany,
Na tym ręka boska.
Gospodarzy,
Jak Bóg zdarzy,
Kraj zasila chlebem,
I czuć kmiecia polską ziemią,
Polskę słychać niebem.
W cudze strony
Zapędzony
Przez dziwne koleje,
Polskie wichry z tej sukmany,
Polska słota wieje.
Różni ludzie przychodzili,
Po drodze stawali,
Wedle stanu na Ojczyznę,
Co mieli, dawali:
Szlachcic przywiódł z rzędem konia
Od srebra, od złota;
Na wojaka
Jedynaka
Niewiasta sierota;
Pokłoniła się do ziemi
Przed starszymi wdowa;
Chciała gadać,
Rozpowiadać,
Zabrakło jej słowa;
Jedno tylko wymówiła,
Rzęsną łzą zalana:
Lat szesnaście chłopiec kończy
Na świętego Jana.
Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery;
Madaliński z hułanami,
Potem kosyniery.
Przed narodem
Ludzie przodem
Dwie chorągwie niosą:
Na czerwonej
Wyrobiony
Złoty snopek z kosą;
A na białej

Srebrnej całej,
Czystem złotem dziana
Matka Boża niebios Pana
Stawia na kolana.
A wiatr wiewa
Koło drzewa
Chorągwią przewija,
To snop świeci
W oczy kmieci,
To matka Marya.
I głos bieży
Na wiatr świeży
W oddaloną stronę,
Jak łza dziecka,
Pieśń nie świecka:
Pod Twoją obronę...
Idą, idą prostą drogą,
Chorągiewki warczą,
Rwą się konie,
Ku tej stronie,
Wstrzymać ich nie starczą.
Przypatrz-że się chłopię małe
Tej polskiej konnicy,
Byś wiedziało,
Jak to śmiało
Patrzą wojownicy,
Jakie konie,
Jakie bronie,
Jaki przyodziewek;
Przyglądaj się polskim twarzom,
Ucz się polskich śpiewek;
Kosyniery
Naród szczery,
Choć to nie żołnierze;
Ale u nas wszystko żołnierz,
Co broń w ręku bierze.
Podkówkami krzeszą, śpieszą,
Za ojcem Kościuszkiem,
Jedni ludzie ciągną drogą,
A drudzy przydróżkiem.
Ow przygrywa,
Czapka siwa
Na bok mu się zwiesza;
Skrzypka mała,
Byle grała,
Żołnierza pociesza...
Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery,
Madaliński z hułanami,
Potem kosyniery.
Przyciągnęli przed kościółek,
Aż ksiądz stoi w progu.
Mili bracia, rzekł Kościuszko,
Pokłońmy się Bogu.
Jakby wicher nagły powiał
Pośrodkiem dąbrowy,
Schylili się wszyscy ludzie,
Czapki zdjęli z głowy.
I pod ścianą
Malowaną
Ustawili kosy,
Jak ustawia dziecię w lecie
Złote zboża kłosy.
A w natłoku
W każdem oku
Radość i swoboda;
Kmiecej pięści
Bóg poszczęści,
W bitwie mocy doda.
Kosyniery,
Pikiniery
I polska piechota,
Matka Boska patrzy na nich,
Suknia na Niej złota;
Z srebra lana,
Pozłacana
Maryi sukienka;
Oj, łaskawie
Mówi prawie
Najświętsza Panienka.
W każdą stronę
Obrócone
Oczy wciąż, powieka;
Kto się żali,
Choć z najdalej
Dopatrzy człowieka.
A kto aby raz przez życie
Wzrok Maryi spotka,
Już mu bieda
Czuć się nie da,
Każda łza mu słodka.
Przed obrazem sam najpierwszy
Naczelnik przyklęknie
I pokłoni się do ziemi,

Ręce złoży pięknie.
A lud sobie dobrze wróży;
Uważają swoi,
Że Moskala ten pobije,
Kto się Boga boi;
To na obraz, to na wodza
Obracają oczy,
A prostacze dobre serce
Mało nie wyskoczy.
Spogląda się święta Pani,
A ciemne Jej lica,
Jakże cudnie
W przypołudnie
Słoneczko oświeca.
Więc Kościuszko taki cichy
I pełny wesela,
Patrzy jako ptaszek lichy
W matkę Zbawiciela.
Madaliński się zadumał
Na pałaszu długim,
Zadumał się nad pałaszem,
Jakby chłop nad pługiem.
Co tak dumasz, jenerale,
Co się dzieje tobie?
Polska sprawa, Boska sprawa,
Daj ty pokój sobie.
Choćbyś myślał i nadmyślał,
Jak Moskali pobić,
Jak Polakom przeznaczono
Tak się musi zrobić.
Kto uwierzy,
Kto wydzierży,
Ten pewno nie zginie;
Jeźli w własnej krwi utonie,
To w niebie wypłynie.
Murowany kościół stoi,
Wrota modrzewiowe,
Nasz Dobrodziej do narodu
Powiedział przemowę,
Co powiedział,
To powiedział,
To już tak do wnętrza,
Tak powiedział do każdego,
Co Matka najświętsza...
Polskie dzieci, kosyniery,
Ojczyzna kochana;
A pod naszym naczelnikiem
Trzęsły się kolana.

Prawie dziurgiem mu leciały
Z modrych oczu kapki;
Słuchał, słuchał, łzy ocierał
Barankiem od czapki.
Jak Dobrodziej lud przeżegnał
Złocistą patyną;
Jak powiedział, że Polacy
Nigdy nie zaginą:
Jakby z serca krakowskiego
Opadł kamień młyński,
Wiwat, krzykną, nasz Kościuszko!
Wiwat Madaliński,
Zaparskały wszystkie konie,
Zabrzękły pałasze;
Maszeruje opłotkami
Polskie wojsko nasze
Maszeruje,
Nie żartuje,
Kraj jak malowany,
Idą nasi, w trąbki grają,
Biją w tarabany.
Opłotkami,
Szeregami,
Konnica, piechota,
Małe dzieci zadziwione
Patrzały z za płota;
Powłaziły na gałęzie
W te zielone gąszcze
I na wierzbach, na topolach
Siedziały jak chrząszcze.
Tyle naszych idzie, jedzie,
Jak gościniec długi,
Lecz Kościuszki nie po
Bo był jak i drugi.
A ci ludzie co poznali,
To mówili sobie:
Że też taka wielka dusza
W tak małej osobie.
Kołem, kołem,
Po nad siołem
Krąży sokół siwy,
Pochował się przed sokołem
Wszelki ptaszek żywy.
Wyciągnięty,
Jak rozpięty,
To skrzydłami ruszy...
Popatrzał się nasz Kościuszko,

Nie ma żywej duszy.
Chociaż nie ma żywej duszy,
Ani żadnej trwogi,
Sprowadźcież mi przewodnika
Co zna wszelkie drogi;
Trza mi człeka
Nie zdaleka,
A z tej samej wioski,
By sprowadził
A nie zdradził
Ten naród krakowski.
Więc się skłonił przed Kościuszką
Wójt gospodarz setny,
Z pod kościoła sprowadzony
Staruszek stuletny.
Ten choć oczy dawno stradał
W okropnym pożarze,
Gdzie co leży,
Jak należy
Dokładnie pokaże.
Krzywym wężem się podpiera,
Ręką na wiatr maca,
I przez ścieżki nieznajome
Drogę sobie skraca.
“Już ja dawno słyszał o tem,”
Rzekł ściągnąwszy ręką,
“Żeście, ojcze, pokarali
Moskwę pod Dubienką.
A pierw jeszcze powiadali,
Jak to po zwyczaju,
Żeście kędyś wojowali
Aż w murzyńskim kraju,
Że wam pereł uryańskich
W podarunku dano,
Jakby grochu łuszczanego
Węborek w kolano.
I że za te perły drogie
W morzu wyzbierane,
Przyjechaliście wykupić
Ojczyznę kochaną”.
A Kościuszko z wdzięcznym śmiechem:
“Serdeczny ojczulu,
Gdybyć można garścią pereł
Ująć Polsce bólu...
Lecz że kraju nie wykupić,
Gdy go wróg przywłaszczy,
Jak jagnięcia nie wyprosić
Z głodnej wilczej paszczy,
Więc już szczerze
Jak żołnierze,
Przy pomocy nieba,
Utraconą Polskę naszą
Krwią odkupić trzeba.
Krwią przeczystą nie pogańską,
Ale chrześciańską,
Każdą kroplą odważoną
Perłą uryańską:
Takiemi to perły, ojcze,
Co nam w żyłach płyną,
Wykupimy Polskę naszą,
Mateczkę jedyną.”
“Prawdać, prawda, Naczelniku,
Na mój rozum kmiecy,
Kto chce na chleb zapracować,
Musi zgarbić plecy.
Niechżeć tedy...” i przycichnął
Starzec siwowłosy,
Wbił kolana w grzęzką ziemię,
Ręce wzniósł w niebiosy,
I na oczy pociemniałe,
Co nie widzą słońca,
Na te smutne oczy białe
Wyszła łza gorąca...
Dwu ramiony
Podniesiony,
Jakby skrzydły dwiema,
Zdał się białym orłem polskim,
Co dziś mocy nie ma.
I przygarniał pożółkłemi
Dłońmi wietrzyk polny
I brzęk szabli narodowej
I głos pieśni wolnej...
Madaliński i Kościuszko,
Piechota, ułani,
Stali na wpół rozrzewnieni,
Na wpół zadumani.
A cóż mówisz Jenerale,
Wszak to szlachcic prawy,
I potoczył po narodzie
Wzrok serdecznie łzawy.
Matko Boża, Pani święta,
Ojcze Zbawicielu,
A serce w nim zakołata,
Jako dzwon Wawelu.

Co przepadło,
To przepadło,
Co żywe, to żywe,
Nie nadobne, co nadobne,
Lecz to sprawiedliwe.
Dziatku! dziatku, wstańcie z ziemi,
Lecz starzec nie wstaje,
Tylko ręką na powietrze
Nieme znaki daje.
Idzie, idzie prostą drogą,
Idzie z wami taki,
Co na lotach,
Cały w złotach
Prowadzi Polaki.
Idzie, idzie po powietrzu
Ziemi nie dotyka,
A mnie dajcie ucałować
Ręce Naczelnika...
I odwiedli na bok dziada.
Dziatwa na koń siada.
Mgła w dolinach się rozrzedza,
Opada, opada.
A z pode mgły rozpędzonej,
Jakby skrzydłem ptaszem,
Kraj szeroko się wynurza
Siwem polem naszem:
Krzemienisty,
Kamienisty,
Pełen traw i wzgórzy;
Przecinany,
Poszarpany,
Jak po wielkiej burzy.
A gdzieniegdzie w ciszy złotej.
Której nic nie budzi,
Stoją brzozy jak sieroty
Po odejściu ludzi.
Mgła opada po nizinach,
Leci za kraj świata,
Anioł Boże
Z dolin, wzgórzy
Siwe mgły rozmiata.
I wyczyścił całe pole,
Jak oka źrenice,
I pokazał... tam Moskali,
A tu Racławice.

* * *

Widać, widać ich szeregi,
A moc tego wielka;
Lecz nad nami,
Polakami
Boża Rodzicielka.
Nasz Tadeusz dobył szabli,
Za nim wszyscy wodze,
I żołnierza
Het do krzyża
Szykują po drodze.
A gdy wojsko ustawiali
W szyku należytym,
Konik siwy
Niecierpliwy
Ziemię rwał kopytem.
I wysunął się Kościuszko
Na przodek szeregu,
I zawołał: "Wiara bracia,
Od brzegu do brzegu,
A najpierwej wy wieśniacy,
Polski ludu rolny,
Widzisz Moskwę, to niewola,
Bij a będziesz wolny.
My tu bracia na swej ziemi,
Ziemia to krakowska;
Nasza Polska i nasz krzyż ten
I rola ojcowska.
Czy nam zagon ten nie miły
Uznojony pracą,
Żeby Moskal go zabierał,
Jeden Bóg wie za co.
Wiara bracia przez Bóg żywy,
Kto Polak prawdziwy,
Niechże będzie już nie mściwy,
Ale sprawiedliwy.
Puszczać kosy na te chwasty,
Co nam pola głuszą,
Kochać Polskę nie połową,
Ale całą duszą.
Czyście dobrze zrozumieli,
Dobrze wysłuchali?"
"Zrozumielim, Naczelniku,
Trzeba bić Moskali!..."
Jezus, Marya! hasło nasze,
Jezus, Marya! wrzasną,
I na rżysku
Od kos błysku
Zrobiło się jasno.

Kiedy naszym powiadają,
Jak żelazo trzymać,
Jak należy spuszczać kosę,
Jak wysoko imać,
Żeby sobie nie zawadzić,
W kosy nie uderzać,
Jak potrzeba razem spuszczać,
Razem się zamierzać:
Aż coś ciągnie z poza wzgórza,
Gościniec zakurza
Jak szeroko
Sięgnie oko,
Siła tego duża.
Jeden mówi do drugiego:
Wolarz pędzi woły,
Poganiają wolarczyki
Dębowemi koły.
Drugi mówi do trzeciego:
Pewnieć woły bure,
Bo przegląda coś buręgo
Przez tę pyłu chmurę.
A toć nie co jeno woły
Ciągną środkiem drogi,
Bo przez prochy
Widać trochy
Pokręcone rogi.
Gdy tak ludzi
Wzrok nie łudzi,
Kościuszko przypada:
Walić mi tam w tę gromadę,
Co się pod nas skrada.
Więc piechury jak się złożą,
Jak oka przymrużą,
Jak nie grzmotną siekańcami
W tę gromadę dużą:
Jak nie pójdzie kul gromada,
Po bokach pogłaszcze;
Aż tu widać, że to bure,
To moskiewskie płaszcze;
Aż tu widać, że te rogi,
To nie rogi krzywe,
Lecz moskiewskie zakończone
Bagnety prawdziwe;
Aż tu widać nie wolarzy
Z dębowemi koły,
Lecz moskiewski starszy w górę
Trzyma pałasz goły.

Nasz doboszyk w bęben grzmoci,
Aż się cały poci;
A trębacze trąbią w dali,
Hurra! na Moskali.
Wiele złego na jednego;
Kościuszko spogląda,
Żeby chociaż trzy armaty,
Tego mu się żąda.
Szczęście nasze, że mgły ciągną,
Że się dymy kłócą,
Bo gdy zoczą,
Z kim bój toczą,
Czapkami zarzucą...
Coraz częściej,
Coraz gęściej
Kozactwo napada,
Wypuszcza się na prześpiegi,
Choć krzywdy nie zada.
Nie pomoże
Mocny Boże,
Tylko tak być musi,
Jak Moskala my nie zdusim,
To nas Moskal zdusi.
Popatrzał się nasz Kościuszko
Na mgliste niebiosy,
Zaplótł palce kłopotliwe
W swoje długie włosy.
Sztandarowem
Rzucił słowem:
By chorągwi strzegli,
A gdy jeden z rąk wypuszcza,
Drudzy wraz podbiegli.
Bracia śmielej,
Niech się bieli,
Choć podarty w szmatki,
Póki sztandar na wiatr wieje,
Póty naszej matki.
Krótko cugle wziął do ręki,
Wpakował ostrogi,
Siwy konik stanął dęba
Na obiedwie nogi.
Wstrząsnął grzywą,
Parsknął żywo
I puścił się pędem,
Gdzie za wzgórzem kosyniery
Stali jednym rzędem.
Stach Świtacki stał na prawem,

Głowacki na lewem,
Jak ów stary Waligóra
Podpierał się drzewem;
Długie wąsy mu spadały
Aż na białą świtę,
Na koszulę rozrzuconą,
Piersi nie zakryte.
Ten choć słówka nie przemówił,
Cały czas się zżymał,
To raz kosę na ramieniu,
To ją w ręku trzymał;
To wywijał nią jak piórkiem
Pisarz po papierze,
To jak stary się zamyślał,
Gdy na rozum bierze.
Więc gdy ujrzał Naczelnika,
Że samowtór spieszy,
Ucieszył się, jak się dziecko
Matce nie ucieszy.
I zaśmiał się całą gębą,
Jak to Krakus umie,
Kiedy przecie
Raz na świecie
Jakąś rzecz zrozumie.
I wyciągnął głazik mały
Z obszernej kiszeni:
Cienko kosa zaostrzona,
Trzeba jeszcze cieniej,
I pośrodku
I na przodku,
Jak ongi do sieczki...
Podniosły się przed Kościuszką
Na kosach czapeczki,
Pokłonił się naród wiejski
Jak zboże w wietrzyku,
Wiwat! krzykną najmilejszy,
Ojcze Naczelniku.
Niechże będzie pochwalony!
Na wieki! odwrzasną,
A na rżysku
Od kos błysku
Zrobiło się jasno.
No, cóż wiara Krakowiacy,
Jakże wam się widzi?
Czy się Polak dziś powstydzi?
Żaś się tam powstydzi!
Jeszcze takie, Naczelniku,
Prawo nie nastało,
Żeby się to polskie wojsko
Moskiewskiego bało.
Niech docina,
Nie nowina,
Krakusowi z kosą,
A toć prawda, nie nowina!
Krzyki się podniosą.
I przyklękli,
W kosy brzękli,
Jak zwyczajnie młotkiem;
A Kościuszko między ludźmi
Przejeżdżał pośrodkiem.
A cóż mi to za wesele,
Gdzie niema skrzypicy?
Więc wyskoczył chudy duda
I dwaj kobeżnicy
I skrzypiciel ukochany
Od narodu wielce,
Co mu skrzypce u sukmany
Wiszą na pętelce.
A gdy Bartosz czapkę w górę
Wyrzucił nad głowy,
Że już teraz za Ojczyznę
Polski lud gotowy;
Jak nie hukną kobzy, dudy,
Skrzypka jak nie utnie,
Jak się nasi Krakowiacy
Nie puszczą okrutnie;
Od radości aż zadrżała
Ziemia poorana,
A wciąż pieśń się odzywała
Danaż moja, dana!
Idą, idą, chylą głowy,
Uśmiechają lica,
To zabrzęknie
Kosa pięknie,
To utnie skrzypica;
To ich dymy w pół przesłonią,
To słońce oświeci,
Wiara pędem,
Równym rzędem
Po pagórkach leci.
A piosenka wciąż dolata
Cichym wiatrem gnana:
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzno kochana!
Więc Kościuszko stojąc w mierze,

Weseli się szczerze,
Przy nim stoi Madaliński
I polscy żołnierze;
Z nimi, z nimi
Dla tej ziemi
Wstaje zorza nowa:
Nowa szlachta, jenerale,
Bartosz z pod Krakowa.
Jeszcze zdala raz ostatni
Przez góry, parowy,
Rozbija się wdzięczna nuta
Pieśni narodowej;
Jeszcze, jeszcze raz wystawa
Na skraju pobrzeża
Stach Świtacki,
Krakus gracki,
Jak Maryacka wieża,
I ostatni raz powtarza
Rola mgłą zawiana:
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzno kochana!
Uderzają.... Jenerale,
Przycichł grzmot armatni,
Jeszcze jeden wystrzał pada,
Słyszycie!... ostatni...
I zniżyli kornie głowy
Przed zrządzeniem Bożem,
A wiatr dymem śród dąbrowy
Kołysał jak morzem.
Chwytał kłęby białe, szare,
Na lasy roznosił,
Po nizinach zabłąkane
Pozwiewał, pokosił;
I odsłonił na zachodzie
Słońca głowę krasną,
Na niebiosach
I na kosach
Świecące się jasno.
Jakby się tam podnosiły
Skrzydła paktów srebrne,
Wietrzyk chłodzi,
Słońce wschodzi,
Już też niepotrzebne.
Komu Pan Bóg błogosławi,
Temu się i wiedzie.
Idzie sobie Stach Świtacki,
A Głowacki jedzie.
Jedzie, jedzie na armacie,
Na smoku mosiężnym,
Czapką wiewa,
A lud śpiewa
Głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę się przewala
Fala rozdąsana:
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzno kochana!
I stanęli przed Kościuszką
Krakowiacy śmiali,
Do nóg mu się pokłonili,
Potem zaśpiewali:
Kto za ciebie, matko nasza,
Zdrowia pożałuje,
Niech mu tego przy skonaniu
Pan Bóg nie daruje!
Ojcze miły, Naczelniku,
Przynosimy plony,
Osiem armat na wojankę,
A cztery na dzwony;
Żeby codzień na świat biały
Brzmiały dzony z wieży
Na te wioski okoliczne,
Na ten wietrzyk świeży;
I żeby też Panu Bogu
Była za to chwała
I tej Matce Przenajświętszej,
Co nam sił dodała.
Oj! było tam pracy, było,
Ale już nic nie ma.
Ot tak Ojcze się robiło
Ramiony obiema;
I nic nam się nie zdarzyło,
Wszystkie kości zdrowe,
Tylko że się osmaliło
Pawie piórko nowe.
Więc Kościuszko po kolei
Ze Stachem, Bartoszem,
Radby się był chętnie dzielił
I ostatnim groszem;
Ale że to Polak szczery
Na złocie nie siedzi,
Przy swej duszy niemiał więcej
Jak trzygroszniak z miedzi.
Więc się dzielił polskiem sercem,
Dzielił dobrem słowem;
Oj tęsknoż to za tą Polską,

W Polsce za Krakowem.
Całe pole oczyszczone,
I tylko po stronie
Owdzie leżą ludzkie ciała,
Owdzie leżą konie.
Po hułanie
Dzielnym Janie,
Żałobą okryty,
Z opuszczoną wraca głową
Konik jabłkowity.
A po drugim,
Co za smugiem
Spoczywa pod brzozą,
Tobie w chacie,
Młodszy bracie,
Złoty krzyżyk wiozą.
Na trzy chłopy wykopali
Mogiłę głęboką,
Na trzy chłopy wysypali
Mogiłę wysoką.
I kosiarze,
Gospodarze
Na kosach oparci,
Zapłakali swoich braci,
Bo też tego warci.
Oj miłują nasi ludzie,
Chociaż tacy twardzi,
A już tego sam Bóg kocha,
Kto kocha najbardziej.
I wróżyli różni różnie,
Ten to, drugi owo,
I Kościuszko też powiedział
Jedno małe słowo:
Dajże Boże ludziom szczęście
I co komu miłe,
A mnie niechaj kosyniery
Usypią mogiłę;
Żeby matka powiadała
Ciekawemu chłopcu
O tej bitwie Racławickiej,
Usiadłszy na kopcu.
Czyli zginę między swymi,
Czy nie między swymi,
Nasypcież mi na mą trumnę
Racławickiej ziemi.
Cudza ziemia ciężka człeku,
Swoja ziemia lekka,
Jakby jakie ludzkie ciało
Cała krwią przecieka;
Jakby jakie matki oko,
Tyle łez ma w sobie,
To i dobrze Polakowi
W takim leżeć grobie.
Mgły powstają nad wieczorem,
Mokra pada rosa;
"W górę, w górę Naczelnika,"
Poszedł krzyk w niebiosa.
I pednieśli go jak piórko,
Jak ptaszynę polną;
Jak z miłości,
To z miłości,
To i wszystko wolno;
Stach go trzymał na ramionach,
Bartosz suchożyły;
Chorągiewki powiewały;
Kosy się świeciły.
Gdzieżeś nasza Polsko miła?
Straszne sądy Boże!
A ty świecisz wciąż miesiącu
Na niebieskim dworze.
Świeć miesiącu na te góry,
Lasy i krynice,
Niech się srebrzą, niech się złocą
Nasze Racławice.
Na tem polu, na tej roli
Polakom nie wstydno,
Kto za Polskę krew oddaje,
Niech mu będzie widno.

* * *

Święta cisza na pagórkach,
Ranny wietrzyk dmucha,
Obudził się stary żołnierz,
Spogląda i słucha....
Ani słychu,
Ani dychu
W dalekiej dąbrowie,
A tu jeszcze: danaż, dana,
Szumi w starej głowie.
Omamienież to prawdziwe,
Czary oczywiste!
Kołyszą się,
Krzyżują się
Dęby gałęziste.
Oj nie żadne omamienie,

Nie żadne to czary,
Całą nockę w nim przegwarzył
Dąb, kosynier stary.
I nim ze mgły porankowej
Chmurne czoło przetrze,
Konarami,
Gałęziami
Przeciąga się w wietrze...



HYMN DO BOGA.

O dobrodziejstwach Opatrzności, wyświadczonych narodowi polskiemu po upadku Polski.

Utwór Woronicza.



Nieogarniony światem, ojców naszych Boże!
Ty który jeden nie znasz płochej wieków zmiany;
Otośmy Twych ołtarzów oblegli podnoże,
Niegdy lud Tobie miły, a teraz znękany!
  Więc gdy za sobą przemówić nie śmiemy,
  Pozwól niech dawne łaski Twe wspomniemy.

Już lat tysiąc niewrotnej swej dobiega drogi,
Jako się pobraciłeś z ojcami naszymi;
A wyrwawszy im z ręku ciosane ich bogi,
Świętem prawdy obliczem błysnąłeś tej ziemi;
  I dałeś poznać wśród błędu zamieci,
  Żeś Ty ich ojcem, a oni Twe dzieci.

Te same świątyń szczątki, mchem porosłe siwym,
Tatrzały na Twe z ojcy naszymi przymierze;
Jak oni Cię uznawszy być Bogiem prawdziwym,
Mieli Ci wiernie służyć w niepośliznej wierze;
  A Ty nawzajem przyrzekłeś łaskawie
  Im przewodniczyć w wielkości i sławie.

Jeszcze tych umów świętych nie oschły znamiona,
Kiedy nad dziady nasze, cechą tej ugody
Wynurzeni z błędnego rozsypańców łona,
Poczesne wzięli miejsce pomiędzy narody;
  A ci, co nimi dumnie pogardzali,
  Ich pokrewieństwa i łaski szukali.

Ty sam, Boże zastępów! miecz nieukrócony
Przypasałeś Twą ręką do ich twardych boków,
A ledwie nim błysnęli na okaz obrony
Objawionych stworzeniu Twych świetnych wyroków,
  Ucichły szepty i zmowy sąsiadów,
  Ujrzawszy Ciebie w pośród naszych dziadów.

Tyś im przywdział niezłomne zbroje i przyłbice;
Bądź gdy od krynic Laby do Danapru brzegów
Pierwotnej swej siedziby kowali granice;
Bądź kiedy wśród okrytych laurami szeregów

Królów i kniaziów spory rozsądzali,
I onym trony ojczyste wracali.
Tyś ich ziemię, jak niegdy Jordanu krainę,
Napełnił błogosławieństw i mlekiem i miodem
I zwierząt życiosłużnych nagnał w nią drużynę,
I uczynił wszech tworów nieprzerodnym płodem;
Że się sąsiadom o nic nie kłaniała,
Lecz ich sytością swoją nakarmiała.

Tyś ją sam niemylnemi oznaczył kopcami,
Od upałów granitnym Krępakiem zagrodził,
Ramiona przeciw wichrom umaił lasami,
I gościńcem rzek spławnych dwa morza pogodził;
A przy podwojach wschodu i zachodu,
Do szlachetnego wytknął plac zawodu.

Tędy nasi ojcowie po wieńce biegali,
Tędy wlekli zwycięzkie z łupami rydwany,
A Tyś na ich błyskotnej strach rozsiewał stali,
Że gdzie tylko zmierzyli oręż niewstrzymany,
Placu nie widząc, zbrojne ćmy pierzchały,
Schnęły strumienie i góry tajały.

Próżno cary zachodnie z swoimi lenniki
I zamkami się grodzą i złotem brząkają,
I z pleśni otrząsając zamierzchłe pomniki,
Pozoru w nich do naszych powiatów szukają,
Czego przyjaźni mytem nie uproszą,
Darmo się groźbą niewskórną komoszą.

A jeżeli się kiedy hardzie pokusili
Popierać swej orężem napaści nieprawej,
Pamiętnemi klęskami zaczepki płacili,
Odbiegłszy ciał niegrzebnych w pośród walki krwawej
Na łup żarłoczny ptactwu i zwierzowi
I na przestrogę późnemu wiekowi.

Próżno nas sroga zawiść ludzkich łez łakoma
Z jednogniazdnem i bracią na północy kłóci,
Zewnątrz ściska najazdem, nieci ogień doma,
I uśpionych Lapońców z twardego snu cuci,
Spędza wiatrami tatarskie zagony;
Sługom na pany wraża miecz stępiony.

Po wieleż razy, Panie, ta ziemia pluskana,
Milionowe hordy chlebem swym żywiła!
A kośćmi i rynsztunkiem zbójeckim zasiana,
Wrogów naszych zawodną nadzieją cieszyła,
Że w oceanie nieszczęść swych zatonie,
Głowy nie wzniesie, ani świtem wionie.

Ty się za nas ująłeś, Zbawco uciśnionych!
A ledwieś ojców naszych natchnął zgody duchem,

Wnet cała ta szarańcza napastników onych,
Jako piasek nadmorski, wionęła rozdmuchem;
  Strach im roztrącał karki wielkooki
  I cień ich własny pochwycał za boki.

Przed jednym tysiąc zbrojnych uciekało razem,
Ni się w dziesięć tysięcy obejrzeć nie śmieli;
A ojce nasi chlubni Twej łaski okazem
Pod obłoki szerokie imię rozciągnęli;
  Zamorców w własnem potopili morzu
  I miecz zatknęli na niedźwiedziem zorzu.

Nie mniejsze Twoje dziwy nasz Obrońco możny!
Kiedy z pustyń arabskich Izmaela plemię,
Posuwając orężem swój księżyc dwurożny,
Tysiąca państw kwitnące przywalało ziemie;
  A depcąc carstwa wschodniego ruiny,
  Przytknęło sztandar do naszej krainy.

Jęknęły prawowierców Twoich świetne grody,
Słońce kurzem zaćmiły różnobarwców tłumy,
A przewódzca ich ufny w orężne narody,
Na karkach ujarzmionych wlokąc namiot dumy,
  Rozdęty pychą, wzniosły nad Libany,
  Dla reszty świata związywał kajdany.

Tyś garstkę ojców naszych przeciw niemy stawił,
Ledwie mu w twarz zajrzeli niezmrożonem okiem,
On się samym postrachem ich lica zadławił;
I jako drugi Dagon przed bóstwa widokiem
  Padł zgruchotany, krwią popoił rzeki,
  Jęknął w pustyniach i przestraszył wieki!

Wielkie Twe dzieła, Panie, dla naszego rodu,
Przegadać ich nie mogli nasi pradziadowie;
Przestrzeń ta szerokiego nader jest obwodu.
Każdy dzień, każdy zakąt łaski Twe opowie,
  Któreś po całym rozsiewał ich domu,
  Że w niczem przodka nie dali nikomu.

Tyś im sam dziewosłębił szczęsne rękowiny,
I serca nitem harcił w nierozjemnem życiu,
Że się ojcom podobne rozwnuczały syny,
Jeszcze te niemowlęta kwiliły w powiciu,
  A już wodzowie owi strachem drżeli,
  Którzy z ich ręku pęta przyjąć mieli.

Tyś im sam gospodarzył w polu i oborach,
Że Tobie i ojczyźnie niosąc hojne dary,
I żywiąc hudszej braci tysiące na dworach,
Nigdy zamożnych szkatuł nie przebrali miary.
  Żeniąc ład dobry z wdziękami szczodroty
  Pod rachmistrzowstwem rozumu i cnoty.

A jako Twojem żyli natchnieniem i duchem,
Tak przyrodna dostojność, wielkość i szlachetność
Kierowała ich czynów niepomylnym ruchem;
A błyszcząca na twarzach Bóstwa Twego świetność,
W każdym ich kroku i skinieniu ciała
Poszanowanie, miłość wyrażała.

Jakiż dziw, że przed niemi ludowie klękali,
Sąsiedzcy jednowładzce, kniazie i królowie
Ich rady, pokrewieństwa, przyjaźni szukali;
Nędzni biegli po wsparcie, po rozum mędrcowie.
Wtedyś ty Boże! był Polaków Bogiem,
Ani im sąsiad śmiał być chytrym wrogiem.

Cóż się wżdy podziało z późnem ich plemieniem!
Tyś twarz odwrócił... a my!... w proch się rozsypali!
Szczątki jego wiatr rozniósł z pyłem i z imieniem,
Morza niemi igrają po zaświatnej fali,
Ciskając z gniewem na murzyńskie piaski,
Ciała zakrzepłe piętnem Twej niełaski.

Drudzy przeżyć nie mogąc zgonu wspólnej matki,
Spostrzegłszy jakąś gwiazdę nowych świata cudów,
I z nią tajnem przeczuciem łącząc tchu ostatki,
W bezdrożach skwarnych spiekot, włoczęgów i trudów
Lądy i morza obieżawszy sławą,
Łzy krokodylom wmawiają swą sprawą.

Starcy w domach ujęci jęczą na podsieniu;
Wory im wypłakane źrenice zakryły,
A sędziwe prababki w rzewnem rozczuleniu
Łamiąc ręce, że matkę matek swych przeżyły,
Połogi nędznych córek przeklinają,
W których rozrodku wnuków swych nie znają.

Rozszlochane dziewice warkocze stargały,
Ani więcej witają słodkim wdziękiem pieni
Wracających rycerzów z bojowiska chwały.
Młodzieńce nasi ludom przewodzić zrodzeni,
Podparłszy belki pradziadowską bronią,
Nad ich czynami łzy bezczynne ronią.

Gościńce sławy naszej chwastami zarosły,
Rozwalinom Syonu pokrzywy panują,
Po wieżach głos pogrobny puszczyki rozniosły,
A smętne cienie ojców po kątach się snują;
Wskazując zwłoków swych ułomki świetne,
Powyrzucane na śmiecia wymietne.

Sami siebie nie znamy, a gdzie stąpim krokiem,
Widzimy grób ojczyzny krwią naszą spluskany;
Wszystko drażni, rozdziera nieznanym widokiem.
I sen nawet spoczynku broniąc niezbłagany,

Szarpie szyderczo i serca i czucie,
Marzeniem wzrosłem i zniknąłem w minucie.

Odkupując chleb, wodę i sól z gruntów własnych,
Po naszych się ulicach rozmówić nie możem;
Wkrótce, miasto żużmanów i bławatów jasnych,
Kusy kubrak z patlaku na grzbiet chudy włożem;
A miasto świetnych przepasek i wieńców,
Zgrzebny powrózek z łyczków i rzemieńców.

Pamięć naszą uczciwą, głośną w poprzek świata,
Jak skorupą garncarską o kamień stłuczoną,
Pogwizdując wędrowiec depce i pomiata;
A patrząc na bram naszych postać okopconą,
Potrząsa głową i pyta zdumiany:
"I gdzież ich teraz ów Bóg zawołany?..."

Ty żyjesz i żyć będziesz chociaż świat upadnie!
Tyś policzył do włoska na tych głowach włosy —
Nie traf ślepy, nie kolej narodami władnie,
W Twoim się ręku rodzą i czasy i losy;
Więc gdy nie możesz karać bez przyczyny,
Los nasz być musi płodem własnej winy.

Łzy nasze są świadkami błędu i poprawy,
A Ty patrzeć nie możesz na łez ludzkich zdroje,
Ni się wyprzesz Twych dzieci, Rodzicu łaskawy!
Cóż Ci zostaje? Wyrzec dawne słowa Twoje:

"*Kości spruchniałe! powstańcie z mogiły,*
Przywdziejcie ducha i ciało i siły!".



PIEŚN
O HENRYKU POBOŻNYM

....przez....

A. Bielowskiego.



Gdy Mongoł w stepie źrenice błądzące
Podniósł i pytał, gdzie mu znika słońce,
Znagła mu w ręce pomknęły się wodze,
A gęste kurze wzbiły się po drodze.
I kiedy w przestrzeń puścił się rozległą,
Tysiąc gór w poprzek drogę mu zabiegło,
Sto rzek szerokim ląd przecięło wartem,
Sto twierdz ramieniem trąca go upartem.
Grody po grodach z dymem szle w błękity,
Wiatr, ląd i wartki nurt siecze kopyty,
Aż w nieprzejrzane równiny wypłynie,
Ujrzy krainę rzeczną, a w krainie
Lud jasnych liców, rzęsistego włosa,
Żelaznych piersi, oczu jak niebiosa.

A nad ziemicą lacką, klęsk zwiastuny,
Dawno już wrogie przyświecały łuny.
Gwiaździsta z wschodu podniosła się miotła
I rzęsne rózgi szeroko rozplotła;
I w koło mnogie jawiły się dziwy:
Z krakowskich jezior powstał ryk straszliwy,
Z łożysk wybiegły rzeki i w dzień biały
W ludzkie się kształty obłoki wcielały,
I ot powstaje wojsko: widno rysy,
Czarny wzrok, szorstkie brody i łeb łysy;
Coś nakształt zgiełku, coś nakształt kurzawy,
Starły się chmury i deszcz sunął krwawy.

Był to czas męki Pańskiej. Znamion wiela
Zląkł się lud wszystek, przed grób Zbawiciela
Szedł; w ziemię czoła, w niebo słał umysły,
A krocie kopyt kowało u Wisły,
I już Tatarzyn hasa tam szeroko,
A za nim dymy i jęki się wloką.
W pył idą sioła, łunami przyświeca
Kraków, a trąby zabrzmiała Lignica.

Pobożny książę przeważnie tam włada,
Henryk myślami bieży w trop nad dziada,
Wiara mu grzeje pierś i krzepi ramię;
Szczęście nie nadmie, klęska go nie złamie.
Ujął kord stary, starą przywdział zbroję,
Urosły serca i biją na boje;
Uderzył w trąby, sypie się rój męży
Od Warty, Wisły, Morawy i Szlęzy.

Zdeptana Odra stęka mostem łodzi,
Miesław z Tatary uparty harc zwodzi.
Sprawny to harcerz, ku bojom ochoczy,
Gracko tnie kordem, gracko koniem toczy,
Celnie grot ciska i kruszy kopije,
Lecz go złe łacno otchnie i pożyje.
Huf Raciborców przy nim, czyści chłopi,
Skupioną tłuszczę podrywa i topi;
Co falom umknie i na brzeg uciecze,
Przeszyją strzały i rozsieką miecze.
Nagle ku brzegom pomknęła się rzeka,
Tłuczona fala kroplami rozcieka;
Skoczył w nią Tatar i w bród się przeprawia,
Rozpędził hufiec, i już u Wrocławia...
Spalone miasto i zamek ściśnięty;
Z zamkowych wieżyc modlił się mąż święty,
Czesław; i białą rozrzucił kapicę,
Ku niebu ręce, ku niebu źrenice,
I w szczerych modłach posłał duszę całą,
Wołał do Boga, a serce płakało,
Za lud swój błagał i słychać wołanie
Korne i czyste: “Nie nam, nie nam, Panie!...”
Czerniały w koło pogan koczowiska,
Aliści w północ dziwna światłość błyska
I cały obóz gra w płomiennej fali,
Pohańce przez sen za łuki porwali,
Żar im doskwiera, ślepi blask promieni,
W skok bieżą k' Nysie, jak psi oparzeni.

A książę Henryk wyruszał z Lignicy,
Klęczał i modły słał k' Bogarodzicy;
Bił pierś żelazną, a mury kościoła
Zwolna odjękły i cisza do koła.
A gdy za siodło twarda ima ręka,
Zachrzęści zbroja i szabla zaszczęka.
Padł z wieży kamień i w ziemi zastrzęgły,
Wstrząsnął pierzasty hełm i gmachu węgły.

Na Dobrem polu jaskółki się zbiegły,
W rumianym wschodzie witać wiosnę młodą,
Przejrzystą Nysy przemykać się wodą

I lekkiem skrzydłem skrążać smug rozległy.
Krótko swobodnym cieszyły się lotem,
Krótko przejrzystą muskały powierzchnię,
Bo już chmurami wiosny ranek mierzchnie
I groźnym piorun odzywa się grzmotem;
Jak z gór Beskidu zstępujące bory,
Tatar szeroko rozbija tabory,
I równe pole i przyległe wzgórki
Zjeżył oszczepy i zaczernił burki.
Nim w bój poskoczy i zaświśnie strzałą,
Poczet tam wróżków pracował niemało,

I czytał znaki po podniebnym sklepie,
A w kole skakał oszczep przy oszczepie.
Od pól lignickich jasna łuna gore,
To Henryk wojska zszykował na czworę;
Cztery stron świata, czterema ramiony
Rozrasta drzewo, którem świat zbawiony.
Z podniosłem sercem huf hasa na czele,
Leci w otwarty bój jak na wesele;
Dumny, bo zaszczyt spotkał go nie mały:
Pierwszy za wiarę w wrogach utkwi strzały,
Pierwszy kopije skruszy i oręże
Wyszczerbi pierwszy i pierwszy polęże;
Wraz na zastępy natarł w imię Boże,
I wraz potarty, jak od gradu zboże.
Skinął wódz, gromem dwoje spada ramię,
W szyki pohańców uderza i łamie.

Z dwiema tam wojski dwa biją hetmany,
Z Szlązaki Miesław, Gryf z Małopolany;
Padł wtóry zastęp i trzeci się chwieje,
Szatańskie igry stroją czarodzieje:
Przebiegły Jarun w lackie bieżał szyki,
(Wszelki kształt weźmie i wszemi języki
Przemówi) stanął, drobne iskrzą ślepie;
Kreśli znak, wargą sprośne słowa trzepie,
Krzyknął “Behajte!” zawrzasło z pod ziemi
I wichry słupy hasają szaremi.

Bił Gryf i hufy w nowy wodził taniec,
Miesław ze swymi pierzchł, jak opętaniec.
“Gorze!” w rozpierzchły tłum miota się ślepo
Tatar, brodaty huf tam wiedzie Pepo;
Krzyż mu n piersi puklerzem, a w sporem
Czworakich ramiom mężny wódz z taborem;
Żwawo się wodzą zapasy, aż trzeci
Pohańców zastęp z wiatry się rozleci,
A wraz ostatni mnogiemi oręży
Obsacza Henryk... zwycięży! zwycięży!

Na wiatr długiemi podlatuje skrzydły
Sztandar, nie sztandar, potwór to przebrzydły:
Skośnemi łapy rozparł się u spoda
Wiatrak, u góry czarne łbisko, broda,
Żarem mu oczy płonęły, a z gardła
Szła noc i w koło kiry rozpostarła;
Podziwem zjęte hufy osłupiały,
A grzmią tatarskie szable, świszczą strzały.
Wzniósł imię Pańskie, okiem wzgardy zmierzył
Marę, i z pocztem o tłum się uderzył
Henryk; szeroko rozległ się szczęk stali,
Długa kopia wrogów o ziem wali,
Zdeptał huf przedni i w środek się porze,
Gęste go tłumy połknęły jak morze.

Gdy grom z łoskotem uderzy na lesie,
Ufny swym skrzydłom orzeł szponę niesie,
Gdzie się trą chmury i piorun przyświeca;
Chętniejsza ciszy domowej orlica
Spatruje drzewo, co jej serce więzi,
Troskliwie w jego usiada gałęzi.
Miękkiemi puchy kryje pisklę młode
I bacznem okiem czuwa na przygodę.
W gmachu, co chwałą brzmi Maryi Syna,
Siedziała Piastów strapiona rodzina,
Od wrzawy przygód, od niedoli chmury,
Wiara ją swemi osłoniła pióry.
Ujrzysz tam w niewiast bogobojnych gronie
Dwie w pół rozkwitłe dziewki: Ogniem płonie
Łzami zwilżone oko, na lic świeży
Nie rzadko z serca wesoła myśl bieży.
Tak w płochych chwilach kwietniowej pustoty
Z pod drobnych chmurek wyziera dzień złoty.
Tuż przy nich Anna: często w rysach dzieci
Topi wzrok smutny, myśl daleko leci
I Boże nad nią przemyka się słowo,
Jakby je duszy słuchała połową.

Klasztorną ciszę poważne przerywa
Pokutnym psalmem pani świątobliwa,
Jadwiga, cała w Bogu, ale jej ciało
Postem i modły jak wosk pożółkniało.
Lecz w przejrzeń Pańskich kryje ta powłoka
Nadludzką duszę: W ognisku jej oka
Zbiega się wszelka przestrzeń, w ducha sile
Przeszłość i przyszłość w jedną spływa chwilę:
Nieraz zdawnione upory rozwadza
Miękkiemi słowy, cudna słów jej władza!
Nieraz z boleścią na niezbożnych woła

Wskazuje zgubną przyszłość, śmierć warchoła
Nie powstał z grzechu, lekce wziął jej słowo
Padł nań gniew Pański i przypłacił głową;
Tak zawsze lekkość słuszna kara sięga.
Czytała w słowie Bożem: przed nią księga,
Skarbnica duszy, twór pracy niezmiernej,
Natchnionych myśli i ręki misternej,
W sprawionych szykach idzie ścieg po ściegu,
Niejedna czcionka jak wódz świeci z brzegu;
Umny tam pisarz, w świątobliwej skrusze,
Przedziwną sztuką ku Bogu wiódł dusze,
Ożywiał słowo myśli swej polotem
Barwił postacie, i rozświecał złotem.

Dziw to niemały, oko się wpatrywa
W rozliczne kształty: tu nielitościwa
Śmierć ostrą kosą kosi i rozszerza
Długiemi pletwy skrzydła nietoperza;
Smutny widoku! ówdzie wstał, jak żywy,
I bije skrzydłem gryf, ptak osobliwy:
Tam, bicz na grzeszne, i groza dla oka,
Wyjrzał straszliwy łeb i paszcza smoka,
I bucha płomień i pary nieczyste,
Bije nań z góry krzyż i imię Chryste...

Natchniony umysł zbiera się, powstała,
Nadziemskim ogniem jej źrenica pała;
"Siostry podnieście żale synowe!
Nowa ofiara winy gładzi nowe,
Morze łask Pańskich wyczerpane ze dna,
Do łask nam powrót krew niewinna jedna:
Oto pogański zwycięzko powiewa
Sztandar, padł owoc szlachetnego drzewa,
Chrześcian rzesza z szczętem zwalczona,
Krwią się krzyżowe oblały ramiona;
Mężnie wódz pełni wyrok, samotrzeci
Kona śmiertelny bój; módlcie się dzieci!
W koło go zgraja otacza zdradliwa,
Wzniósł ramię, walczy, włoczń mu pierś przeszywa...
Synu!...."

Donośniej, wnet głuszej i głuszej
Pada głos, dziko rozlega się w duszy,
Lęk i truchliwość obleci gmach cały,
Oczy i lica łzami się zalały,
Jęki i łkania powstają i rosną,
I wnet na całe rozlały się Krosno.

Na błoniu, gęsto trupami zasłanem,
Ucztuje Peta zwycięzki z Kajdanem:

Końskich tam pieczeń dostatkiem, a rzeką
W bawolich rogach końskie płynie mleko;
Nim się dostatnią rozdzielą zdobyczą,
Obeszlą pole i poległych liczą:
Z ostremi noży poczet idzie skory,
Po jednem uchu tnie, i składa w wory,
Uczta skończona, wzniesiono ze zbiorów
Książęcą głowę, uszu dziewięć worów.

W czerwonym wschodzie gasła zorza ranna,
Nad trupem siedzi pochylona Anna,
Skrzepłe ramiona i zsiniałą szyję
Ściska, i łzami rozdartą pierś myje;
Krwawo, o krwawo przyświecasz mi rano!
Zbolałą piersią czuję pierś kochaną,
Ramię spotyka ramię, a źrenica
Rozdarte serce, ni oczu, ni lica....”

Na Dobrym polu bujno rośnie kwiecie,
Wzgardzi niem płochy, niezbożny przygniecie,
Ale z uczuciem uszczknie je mąż Boży,
I w wonnym wieńcu na ołtarzu złoży.
Mężnym, co legli w imię Zbawiciela,
Wiecznie się błonie murawę zaściela,
I wonne rosną kwiaty, a dla Piasta
Ołtarz w wrocławskiej świątnicy wyrasta,
Pobożna ręka we wieńce go stroi,
I patrz, powstaje walecznik we zbroi
To on, toż czoło, ta źrenica modra,
Na zbrój opadły kędzior, kord u biodra,
Sążnista w krzepkiej prawicy kopija,
Zdeptany Tatar pod nim w kłąb się zwija;
Błogo po burzy przyświeca zaranie,
A w koło księża pieją zmartwychwstanie.



WOJNA CHOCIMSKA.

Wyjątek z epopei Ignacego Krasickiego.

Potęga państwa tureckiego; duma Osmana; mowa wodza polskiego.

—o—

Już się był mieczem zwycięzkim zbyt wsławił
Naród, na zemstę od Boga zesłany;
Już w krwi niewinnej od wieków się pławił;
Jednak w zapędzie nieuhamowany,
Nie syt, że tyle dzieł okrutnych sprawił;
Dumny potęgą i sławą zagrzany,
Groził i reszcie, a srogim bułatem
Chciał przelęknionym zawiadować światem.
Na państwa Greków wspaniałych ruinach,
Tron swój postawił Bisurman zuchwały,
Rozciągnął władzę po wielu krainach,
Mnogie królestwa jemu hołdowały;
Miasta i grody zagrzebał w perzynach,
Na hasło jego narody zadrżały:
Zadrżały państwa trwożnemi odgłosy,
Kiedy się wzmaga na śmiertelne ciosy.
Miasta Pańskiego padły świetne mury,
Córki Syonu jęczały od wieka;
Gmachy wybornej upadły struktury,
A które wielbił przychodzień zdaleka,
Opustoszałe miejsca świętej góry,
I grób, co chował Boga i Człowieka,
I gdzie zbawienia dzieło rozpoczęte,
Sprosny pohaniec deptał miejsca święte.
Osman waleczny nad niemi panował;
Osman, co państwa granic rozprzestrzenił;
W ślady ubite ojców swych wstępował,
I do dzieł wielkich nigdy się nie lenił;
Żeby ich jednak lepiej naśladował,
Pragnął, ażeby wiernych wykorzenił,
Bezbożny! mniemał, że to ludzka siła
Zniesie, co boska ręka uczyniła....
Któż objąć zdoła mnogość zjadłej dziczy?

Snują się coraz tłumy niezliczone,
Patrzy monarcha na lud hołdowniczy,
Patrzy z weselem na pułki skupione,
Już mnogie państwa mniema mieć w zdobyczy,
Pasł tym widokiem żądze rozjuszone;
    A dumny mocą swego majestatu,
    Wzniósł się nad człeka i pogroził światu....
Jak groźny obłok, co ulewę nosi,
A pełen grzmotu i straszliwej tuczy,
Coraz się srożej wzmaga i podnosi,
Coraz okropniej błyśnie i zahuczy;
Tak mnogość tłumów niewiernych się głosi,
Niezliczonemi wrzaski echo mruczy,
    Drżą okolice pod niezmierną zgrają,
    Gęsto tumany zewsząd się wzbijają.

Osiada tuman; natychmiast orszaki
Wojsk niezliczonych oglądać się dały;
Święte chorągwie proporce i znaki,
Pola, niziny, góry przykrywały.
Lśnią się zdaleka zbroje i szyszaki,
Blask się odbija zewsząd okazały;
    Góry, pagórki, i pola i puszcze,
    Pokryły okiem nieprzejrzane tłuszcze.
Państw wielorakich narody zebrane,
Odmienne życiem, mową, obyczajem,
W jednę się mnogość zeszły zawołane,
W jednę potęgę wpoiły się wzajem.
W pewnej nadziei kładł Osman wygrane,
Już się nad polskim pastwił dumny krajem.
    Stał widok wielki tylu mocarstw wspólnych,
    Widok straszliwy, ale nie dla wolnych.

Wolności! której dobra nie docieka
Gmin jarzma zwykły, nikczemny i podły;
Cecho dusz wielkich! ozdobo człowieka!
Strumieniu, cnoty zaszczycony źródły!
Tyś tarczą twoich Polaków od wieka
Z ciebie się pasmem szczęścia nasze wiodły.
    Większaś nad przemoc; a kto ciebie godny,
    Pokruszył jarzmo, albo padł swobodny.

Nie mnóstwem dumne, ani blaskiem świetne,
Stanęły w szykach prawowierne roty,
O własne życie bynajmniej nie skrzętne,
Hasłem ojczyzny wzmożone i cnoty;
Stanęły wojska na dzieła pamiętne,
Pełne walecznej do boju ochoty.
    Wódz widząc na śmierć, lub tryumf gotowe,
    Taką natychmiast miał do nich przemowę:

"Tu pole, bracia, oddać, cośmy winni
Bogu, ojczyźnie i potomkom naszym;
Tu plac, gdzie światu całemu uczynni,
Obrońcy wiary, w męztwie teraz waszym
Całość narodów; niech się trwożą inni,
Niechaj drżą podli, my się nie zastraszym;
Okażmy światu przez chwalebne blizny,
Co może miłość wiary i ojczyzny.
Gdzie cnota każe, nie trzeba słów wiela;
Nie mówić, bracia, lecz działać przystoi.
Idźmy z ochotą na nieprzyjaciela;
Kto w Bogu ufa, śmierci się nie boi.
Ojczyzno! której wzgląd syny ośmiela,
Poznasz, odrodni jesteśmy, czy twoi.
Kto Polak, za mną!" rzekł; a w mgnieniu oka,
Padł na niewiernych, jak piorun z obłoka.
Co impet zdziałał wówczas zapalczywy,
Któreż to pióro określi wyrazem?
Świst strzał, blask mieczów, nastąpił straszliwy;
Wrzaski okropne powstały zarazem,
Powyprężane jęknęły cięciwy,
Stal szczęka płytkiem ujęta żelazem.
Zjadłość niewiernych dodaje ochoty,
Cnota i honor wzmaga polskie roty.
Sparły się wojska zapalczywe z blizka,
Mimo różnicę mnogości niezmierną;
Niejeden oszczep zdruzgotany pryska,
A krwią się ziemia rumieni niewierną;
Niezwyciężonym wódz orężem błyska,
Wzmaga przykładem rzeszę prawowierną.
Uchodzi z pola Bisurmańska dzicza,
Na wstęp rażący męztwa Chodkiewicza.

———o———

DUMA O LUDGARDZIE.

Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę obciążoną,
Miłością moją wzgardzoną.
Smutna matka w dłoń uderzy,
Nieszczęściu zaraz uwierzy;
Przyśle mi braty obrońce,
I syrbskich łuków tysiące.
Powiejcie wiatry od wschodu etc.

Ale stójcie Syrby mężne!
Hamujcie razy potężne!
Choć mnie Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić.
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato;
Że mnie mej młodości zbawił;
Onby się może poprawił.
Powiejcie wiatry etc.

Szczęśliwa wiejska dziewico!
Której miłość tajemnicą,
Nie zna jeszcze serca pana;
I ty, co kochasz kochana.
Ja króla możnego żona,
Kochając go pogardzona;
Gdy mi dojmie rozpacz sroga
Bluźniąc, klnę siebie i Boga.
Powiejcie wiatry etc.

Czego błyszczysz złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne;
Ten lud przedemną schylony,
I te Przemysława trony.
Obejrzyj się mężu twardy!
Jeden uśmiech... a mniej wzgardy...
Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną.
Powiejcie wiatry etc.

Ale on nieubłagany!....
Pójdę do matki kochanej,
Pójdę choć w jednej koszuli;
Ona mnie w smutku utuli.

Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwy, dziki,
Zwierz mi życia nie uszkodzi,
Na które srogi mąż godzi.
Powiejcie wiatry etc.

Gdzież mnie ślepa miłość niesie?
Ona mnie zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieżki poradzi,
I tu mnie nazad sprowadzi;
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą
W serce, które go kochało.

Karpiński.

———o———

ŻALE SARMATY

nad grobem Zygmunta Augusta, ostatniego króla polskiego z domu Jagiellonów.

Ty śpisz Zygmuncie! a twoi sąsiedzi,
Do twego domu goście przyjechali...
Ty śpisz! a czeladź przyjęciem się biedzi,
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!...
  Gorzkie wspomnienie, gdy szczęście przeminie,
  Czemuż i pamięć o nim nie zaginie.

Nie zostawiłeś syna na stolicy,
Przez jakieś na nas Boga rozgniewanie,
Któregoby wnuk dziś po swej granicy,
Rozrzucał postrach i uszanowanie!
  Po tobie poszła na handel korona,
  Tron poniżony i rada stępiona!

Ojczyzno moja na końcuś upadła,
Zamożna kiedyś i w sławę i w siłę!
Ta, co od morza, aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę?

Patrzcie! matczyne jakieś leży dziecię!
W wyniosłych piersiach głęboka mu rana,
Którą szlachetne wychodziło życie!
On nie uciekał, bo z przodu zadana!
  Jeszcze znać w twarzy, jak jest zemsty chciwy!
  Zdaje się gniewać, za co nieszczęśliwy?

A tam poczciwość, kościół, wstyd zgwałcony;
Pożarem całe spłonęły osady!
W dom gorejący właściciel wrzucony,
Pierwej mu wszystkie zrabowawszy składy.
  Wszędzie zajadłość ogniem, śmiercią ciska,
  Gdzie spojrzysz rozpacz, trupy, zgorzeliska!

Po tych rozbojach jedni zniechęceni
Pod nieznajome rozbiegli się nieba!
Drudzy ostatnią nędzą przyciśnieni,
W swych kiedyś domach dzisiaj żebrzą chleba!
  Insi rozdani na Moskwę i Niemce,
  Na roli ojców płaczą cudzoziemce.

Wy, co domowe opłakawszy klęski,
Poszliście naród ratować niewdzięczny!

W tylu przygodach wasz oręż zwycięzki
Pokazał światu, że i Polak zręczny!
  Cóż przynieśliście z powrotem w swą stronę!
  Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzione.

Oto krwią piękną ziemia utłuszczona,
Konia i jeźdzca dzikiego wytucza,
A głodne dzieci matka przymuszona
Panującego języka naucza!
  Tak jest, jak twardy jakiś wyrok kazał,
  Inszych popisał, a Polskę wymazał!

Wisło! nie Polak z ciebie wodę pije,
Jego się nawet zacierają ślady,
On dziś przed twojem imieniem się kryje,
Które tak można wsławiły pradziady!
  Już białym Orłom i bratniej Pogoni,
  Świat się przed laty nawykły, nie skłoni.

Zygmuncie! przy twoim grobie,
Gdy nam już wiatr nie powieje,
Składam niezdatną w tej dobie,
Szablę, wesołość, nadzieję.
    I tę lutnię biedną!
    Oto mój sprzęt cały!
    Łzy mi tylko jedne
    Zostały.

Karpiński.



ODA DO WĄSÓW.

Ozdobo twarzy, pokrętne wąsy!
Powstaje na was ród zniewieściały;
Dworują trefne dziewcząt przekąsy,
Śmiejąc się z dawnej Polaka chwały.

Gdy pałasz cudze mierzył granice,
A wzrok Marsowy sercami władał;
Ujmując wówczas oczy kobiece,
Bożek miłości na wąsach siadał.

Gdy szli na popis rycerze nasi,
A męztwem tchnęła twarz okazała,
Marynia patrząc, szepnęła Basi:
“Za ten wąs czarny życie bym dała.”

Gdy nasz Czarniecki słynął żelazem,
I dla Ojczyzny krew swą poświęcał;
Wszystkie go Polki wielbiły razem,
A on tymczasem wąsa pokręcał.

Jana trzeciego, gdy Wiedeń sławił,
Głos był powszechny między Niemkami:
“Oto bohater, który nas zbawił!
Jakże mu pięknie z temi wąsami!”

Smutne w narodzie dzisiaj odmiany,
Rycerską twarzą Nice się brzydzi;
A dla niej Kleant wódkami zlany.
I z wąsa razem i z męztwa szydzi.

Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z swojego kraju natrząsa,
Ja zaś z ojczystej chlubny postaci,
Żem jeszcze Polak, pokręcę wąsa.

Fr. Kniaźnin.



MATKA OBYWATELKA.

Śpij, moje złoto! śpiewała,
Kołysząc matka swe dziecię;
Spij, moja nadziejo cała,
Moje ty życie.
Usnęło! — słabe nieboże,
Dosyć się, dosyć spłakało;
Po płaczu lepiej też może
Będzie mi spało.
Dziecię! o wieleż to biedy
Matczyna znieść musi głowa;
Nim się pociecha jej kiedy
Z ciebie wychowa!
Wieleż ja z czasem odbiorę
Miłej mi za to wdzięczności;
Gdy z ciebie uznam podporę
Mojej starości.
Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twej cnoty czynem,
A sława będzie mi śpiewać,
Żeś moim synem!
Któż wie, co jeszcze być może?
Ach! sztylet serce przenika....
Poczwara jakaś, o Boże!
Stanie mi dzika.
Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imię znieważyć!
Lub na postępek wszelaki
Niecnoty zażyć?
Wstydu on mego przyczyna,
A może i śmierci jeszcze,
Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,
Którego pieszczę?
Ojczyzny zdrajca i zbrodzień.
Może krew braci rozleje?...
Ach serca mego niegodzien;
Cała truchleję!
Tażby nagroda, i ta mi
Pociecha z ciebie być miała?...
Rzekła; i oczy swe łzami
Gorzko zalała.

Fr. Kniaźnin.



WYGNANIEC.

Żegnam cię Ojczyzno! żegnam cię na wieki!
Smutne przeczucie w piersiach odzywa się tkliwych,
Że te oczy, te łzami zroszone powieki,
Już więcej nie zobaczą twych brzegów szczęśliwych.

Ucichła sroga burza, i żagiel rozpięty
Lekko naprzód posuwa niezmarszczona fala;
We mnie niknie odwaga, a żalem ściśnięty
Przeklinam wiatr, który mnie od ciebie oddala.

Jeszcze cię widzę za tym niebieskim obłokiem,
Domy i wieży ostre swe szczyty wywodzą;
Z pagórków, co przed chciwem zniżają się okiem,
Głosy mowy ojczystej jeszcze mnie dochodzą.

Na skale, co ją wkoło gęsty mech okrywa,
Rybak zmoczone sieci przed słońcem rozpina;
A piosnka, którą tonem rozkwilonym śpiewa,
Pamięć znikłych rozkoszy smutnie przypomina.

Jak szczęśliwszy odemnie! już czeka godziny,
Gdy wieczór szarym mrokiem obłoki powleka;
Wtenczas ochoczy wraca do skromnej dziedziny,
Gdzie go dziatwa i żona z utęsknieniem czeka.

Już się cieszy, i skoro nizkie przejdzie progi,
Spotyka wszędzie uśmiech, słodkie uściskania;
Nie trują rozkosz jego przyszłym strapień trwogi,
Nie znają oczy płaczu, ni piersi wzdychania.

Człeku stokroć szczęśliwy! do późnej siwizny
Znać będziesz słodycz życia w tym stanie ubogim;
A ja smutny wygnaniec z domu i ojczyzny,
Rzucać muszę co tylko jest mi w świecie drogiem!

Już mnie matka do swego nie przytuli łona,
Już nie ujrzę przyjaciół, ni braci kochanych;
Próżno drogie wspomnienia wraca myśl strapiona,
Spieszę do parnych niebios i krain nieznanych.

Idę, gdzie słońce skwarnym upałem się żarzy,
Gdzie się płodzą tygrysy i węże zjadliwe,
Gdzie żółtą febrą tknięty, wbrew sztuce lekarzy;
Człek zionie w ciężkich mękach życie nieszczęśliwe.

Lecz ani jad, co wnętrza zaczyna pożerać,
Ni krew, co się po żyłach w czarny węgiel spieka,

Ani żal, w kwiecie życia gwałtownie umierać,
Nazwać można najtkliwszą męką dla człowieka.

Sroższem jest życie pędzić w ustawnej tęsknocie,
Nie mieć komu się z ciężkiem powierzyć strapieniem
W smutnym, na upłynione szczęście, myśli zwrocie,
Truć każdy dzień obecny przeszłości wspomnieniem.

Ileż kroć, gdy po pracach i strudzeniach srogich,
Noc niespokojna zawrze powieki znużone,
Sny wystawiać mi będą przyjaciół zbyt drogich,
Miejsca i chwile z nimi tak słodko spędzone.

Mieszkania rodu mego, starożytne mury!
Kędym igrał w dzieciństwie, wy błonia, potoki!
I ty świątynio z wieżą wybiegłą do góry,
Gdzie drogie przodków moich spoczywają zwłoki!

Wszędzie myśl udręczona przenosić się będzie;
Lecz patrz, jak się horyzont szarym kryje mrokiem,
Już gmachy, domy, brzegi, drzewa w ciągłym rzędzie,
Raz się okażą, i znów nikną przed mem okiem.

Uciszcie się, o wiatry! nie wzdymajcie morza,
Niech spokojna ma nawa w milczeniu spoczywa;
Niechaj gdy jutro świetna okaże się zorza,
Wzrok mój brzegi ojczyste raz jeszcze odkrywa!

Próżne są proźby moje; wiatr się w żagle ciśnie,
I wzniesione bałwany szumna warzy piana;
Nie ujrzę, tylko wody, gdy słońce zabłyśnie....
Żegnam cię raz ostatni, Ojczyzno kochana!

Jul. Niemcewicz.



PANNA GUZDRALSKA.

Kronika dawna, podarta i licha,
W której niejednej kartki nie dostaje,
Za Kazimierza napisana Mnicha,
Następującą powieść nam podaje:
Pod Zieloną Dąbrową i blizko Łęczycy,
Mieszkał szlachcic w przyjemnej bardzo okolicy;
Był to ziemianin bogaty,
Miał liczne włości i kosztowne szaty;
Lecz mniejsza o to, bo największą chlubą
Było dla niego, że miał piękną córę,
Obdarzoną w to wszystko przez hojną naturę,
Co pannę czyni powabną i lubą.
Lecz choć rzadkiemi zbogacona dary,
Że nie ma pono człeka bez przywary,
Miała i ona błędzik tak nie duży,
Iż rzekłbyś, że to plamka jest na róży.
Mamże powiedzieć nawiasem,
Jaka to wada? Guzdrała się czasem.
Nie mogła pojąć, z jakiej to przyczyny
Były dnie, noce, i były godziny;
Owszem mniemała, że ów czas odwieczny,
Był tak dobry i tak grzeczny,
Iż przez wzgląd na nię, w dzień uczty lub rodzin,
Mógł się zatrzymać kilkanaście godzin.
Choć ją wszędzie proszoną sadzano na przedzie,
Przybywała na obiad zwykle po obiedzie.
Na scenę i na sztukę, co pierwszy raz grano,
Zawsze przybyła kiedy zasłonę spuszczano.
Na mszą nawet (choć wiemy, że to grzech śmiertelny)
Szła, gdy zamykał wrota dziad kościelny.
Ale że ją rodzice niezmiernie kochali,
Więc pobłażali.
W domu, nad innych, większe miewał łaski
Pan Wojewodzic Podlaski:
Zamożny, miły, w niczem nienaganny,
Otrzymał słowo od panny.
Z pochwałą, tysiąc powtarzając razy:
Piękna jest, śliczna nad wszelkie wyrazy;
Szkoda! przydawał z miną zasępioną,
Że czasem bywa trochę roztargnioną —
Ale, by takiej ustrzedz się przywary,

Wszędy jej w domu postawiam zegary:
Nie sposób, żeby (choć się zapomina)
Nie miała wiedzieć, która jest godzina.
Nadszedł i czas wesela. Już para dobrana
Nazajutrz o godzinie jedenastej z rana
Stanąć miała do ślubu przed ołtarze święte,
Słodkiem uczuciem rodzice przejęte,
Sproszeni goście, krewni, przyjaciele,
Ławki zajęli w kościele.
Przybył i kapłan — zapalono świece —
Czekają wszyscy na oblubienicę;
A gdy czekają już blizko godzinę,
Posyła ojciec o zwłoki przyczynę —
Dano odpowiedź, by zaczekać trochę,
Że panna jednę włożyła pończochę,
I jest nadzieja, że w chwilę niedługą
Włoży i drugą.
Tymczasem zegar już i trzecią głosi,
Gdy człek wysłany odpowiedź przynosi,
Że panna nie wie, która jest godzina,
Ale że włosy już trefić zaczyna.
O piątej znowu zapewnienie dane.
Że tylko jeszcze ma przyszyć falbanę,
I wraz przybędzie. Gdy latają gońce,
Już do zachodu schyliło się słońce.
Biegnie pan młody, pada na kolana,
Prosząc, by przyszła choć i nieubrana.
— "Pozwól, odpowie, tylko dwa pacierze,
Niech jeszcze wstążek do sukni przymierzę —
Potem kwef ślubny i rąbek na czele,
A reszta, to już będą bagatele..."
Zniecierpliwiony pannie wynurzy swą żałość:
"Kiedy widzę do ślubu taką opieszałość,
Jakieżby było o domu staranie?
Jaki ład w gospodarstwie? rządu sprawowanie?
Niech cię inny posiada, gdyś mnie omieszkała:
Jabym się wprzód zestarzał, nimbyś się ubrała."
Wsiadł więc w kolaskę — furman trzasnął biczem,
I wszystko spełzło na niczem. —
Tego pośpiechu, tej niecierpliwości
Nie można chwalić w młodym Jegomości;
Prędkość dobrze nie usłuży —
Gdyby cokolwiek chciał poczekać dłużej,
Chwilę nie tak drogo cenił,
Byłby się może ożenił;
Gdyż o trzeciej nad ranem, z zasłoną gazową,
Panna do ślubu już była gotową.

J. Niemcewicz.

POGRZEB
KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO.

Z Śpiewów Historycznych Niemcewicza.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud postrzegł, jak wzdęte wiatrami,
Białe z czerwonem proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:
"Nasi wracają!"

Niedługa radość; każdy pyta chciwie,
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przewodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był kiedyś duszą i ozdobą,
Okryte orły, zbroje wojowników,
Czarną żałobą.

Już go nie widać w pośród hufców dzielnych,
Gdzie jest... czy słyszysz żal wszystkich głęboki?
Patrzaj, złożone na marach śmiertelnych
Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi,
Ciągną go wierni towarzysze boju
Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję;
Idź koniu smutnie, już Pan twój bezpieczny,
Zamknął dni swoje.

Żałosne trąby, wy flety płaczliwe,
Wy chwiejących się orłów srebrne dźwięki,
Umilczcie, ranią piersi moje tkliwe,
Te smętne jęki.

Patrz przed świątynią przy światłach gasnących,

Porywa młodzież z wozu ciężar drogi,
I wznosi wpośród grzmotu dział bijących,
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania,
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
Ach! przyjm ostatnie te ich pożegnania,
Wodzu waleczny.

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody,
I zamiast słodkich nadziei ziszczenia,
Gorzkie zawody.

Tulmy łzy nasze, już jesteś szczęśliwy:
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy,
Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów,
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim jak w ostatniej toni,
Śmierć nad nadzieje przenosząc zgubione,
Runąłeś z koniem i z orężem w dłoni,
W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi,
Ten napis twarde zachowają głazy:
Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi,
I żył bez skazy.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź tej tarczy,
Pewien, że przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.



Z POEZYI ADAMA MICKIEWICZA.

PIERWIOSNEK.

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek,
Błysnął ze złotych obsłonek:

Ja. Zawcześnie kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.
Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perełka.

Kwiatek. Dni naszę jak dni motylka:
Życiem wschód — śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.
Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku:
Wianek to będzie nad wianki.

Ja. W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?
Ni to kolory jutrzenki,
Ni zawoje tulipana,
Ni liliowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.
Uplatam ciebie do wianka;
Lecz zkądże ufności tyle!
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

Kwiatek. Powitają przyjaciele
Mię, wiosny młodej aniołka;
Przyjaźń ma blasku niewiele
I cień lubi jak me ziołka,
Czym kochanki godzien rączek?
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą — ach! łzę tylko!

WSTĘP DO KONRADA WALLENRODA.

Sto lat mijało, jak Zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.
Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.
Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.
I ci i owi pilnują przeprawy,
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt, bez straty życia lub swobody,
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnem zielu;
Śmiałe, jak dawniej, wyciąga ramiona,
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
Tylko słowiki Kowieńskiej dąbrowy,
Z bracią swoimi Zapuszczańskiej góry,
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy,
Lub swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.
A ludzie? — ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć: tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! Wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi;
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topór z zielonych ogołoci wianków:
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów;
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów:
Wszystko rozerwie. — Lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach Wajdeloty.

WSCHÓD SŁOŃCA.

(Z "Pana Tadeusza".)

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietniej. Pogoda była prześliczna, czas ranny;
Niebo czyste w około ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmura biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, śpieszy wracać między spół-niebiany.
Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie.
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę: już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
I w biały chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc razy krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc, wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;
Aż rozlśniło się jako kryształ przezroczyste,
Potem jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!...
  Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.
  Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca.
  Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemnia
Obszar gnuśności zalany odmętem:
                    To ziemia!...
Patrz, jak nad jej wody trupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
                    To samoluby!
  Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.
  Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wspólnem są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem młodzi przyjacieie!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka,
Gwałt i słabość bronią wchodu!

Gwałt niech gwałtem się odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!
  Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem — zdusi Centaury,
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie.
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!
  Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej bryło z posad świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.
  A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem: “stań się” z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią!
  W krajach ludzkości jeszcze noc głucha,
Żywiołów chęci jeszcze są w wojnie;
Ale młodość ogniem płonie;
Miłość go pocznie z swem łonie,
A przyjaźń w wieczne utwierdzi spojnie.
  Prysną wnet nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące;
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!



WYJĄTKI Z POEZYI JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

SMUTNO MI BOŻE.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski;
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom,
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.

Więc że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli...
Nim się pod moją nicością ukorzę,
Smutno mi Boże!

KULIK.

Oto zapusty! dalej kulikiem
Każdy wesoły a każdy zbrojny,
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.
Dalej kulika w przyjaciół chaty;
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą;
Nie trzeba wdziewać balowej szaty,
Ani okrywać czoła żałobą;
Tak jak jesteśmy dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą...
Gwiazdy nam świecą,
Staniemy cali.
Ha! ha! koń parska, rade nam dwory;
Nie trzaskaj z bicza, niechaj śpi licho,
Szybko po drodze tak jak upiory
Śmigajmy szybko, cicho—i cicho.
Niech sanki świszczą
Jak błyskawica,
W okrąg księżyca
Złote mgły w koło,
Kagańce błyszczą;
Cha! cha! cha! jak nam wesoło.
Kto nas zobaczy, ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.

A kto chce zostać, więc dobrej nocy,
Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
Niech śpi spokojnie, my bez pomocy
Tak jak jesteśmy, dalej i dalej—etc.

Stójcie tu! stójcie, oto dwór biały
I światło w oknach, dam znak, wystrzelę.
Odpowiedziały mnogie wystrzały,
Ha! dobra wróżba, wszak tu wesele.
Tu szlachta pije, wyprawia gody,
Drużby za nami! swaty za nami!
Od młodej panny, chodź panie młody.
Lecz nie patrz na nią, zalana łzami,
A łzy kobiece zmiękczą ci serce.
Wrócisz! nie zwiędną ślubne kobierce;
Teraz za nami, tak z bukietami,
Tak jak jesteście, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica:
Dam znak, wystrzelę... nie ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usłyszy.
Przebóg! tu pogrzeb, błyszczy gromnica...
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi truna, a koło truny
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło...
Ha! ha! co robić? tu niewesoło.
Lecz poco długie prawić androny.
Daj na pacierze, zostaw na dzwony.
Zabierz przyjaciół... Z czarną żałobą
Tak jak jesteście, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał, więc drzwi uchylę.
Zielonem suknem stolik wybity,
A na stoliku świecą pamfile.
Panowie szlachta! do djabła karty,
Dalej do broni! a karty w kąty,
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
I delfin grają; może kto czwarty
Do gry zasiędzie i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną... Mości panowie!
Niech w karty sami grają królowie,
A my do koni, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary,
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie jakieś widzę maskary;
Panowie bracia! to maskarada.

Szaty w dziwaczne lepione wzory...
Słuchaj-no! słuchaj, mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? a ty Hiszpanie,
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
Nie, mniejsza o to, Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście, dalej! i dalej! etc.

Stójcie! tu stójcie! nowa gościna;
Już w oknach wszelkie światło pogasło,
Dam znak, wystrzelę, nie—po co hasło,
Tu śpią, nie słyszą, nie nasza wina,
Że sen przerwiemy... Stukam we wrota...
Ha! stary sługa wychodzi, świeci.
Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
"O nie, on nie śpi, pan mój i dzieci,
Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
Wyszli na czele zdrojnej czeredy;
A teraz cicho, pusto we dworze,
Wyszli na wroga, czy wrócą kiedy?"
Widzicie bracia, mylą pozory;
Takiemu panu błogosław Boże.
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
Jedźmy więc sami, dalej! i dalej! etc.

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!
Lecą i lecą, a z pod kopyta
Pryskają iskry, połyska błonie,
Śmigają sanki, już świta! świta!
Na niebie blednie czoło księżyca,
Droga skończona, oto graniaa,
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa...
Oto jest kulik Polaka.



PIAST DANTYSZEK.

Wstęp i zakończenie.

U nóg twych kładę, o! żałosna wdowo
Polskiego ludu! o! Matko w żałobie
Tych, co śpią w krwawym pochowani grobie,
I tych, co wierzą, że wstaniesz na nowo.

O! ty gotowa twą krew Chrystusową
Rzucić na twarze wątpiące i blade...
Warszawo! tę pieśń ci pod nogi kładę
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlękła
Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono, żeś przed nim uklękła,
Tom był jak człowiek, gdy grom weń uderzy.
Potem, schyliwszy czoło zamyślone,
Rzekłem, żeś klękła ty pod tę koronę,
Co spadła z głowy i u nóg ci leży.



O! Polsko! Polsko! Święta! Bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne;
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy... wspomnij ty o nas! o! wspomnij!
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze i piorun, co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje przez Boga przeklęta:
A nie zapomnisz ty o nas o! Święta!



NA SPROWADZENIE ZWŁOK NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi—popiołem,
  I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał—ze sławy aniołem,
  Gdzie był sam—nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
  A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
  Królewiczu, dowódco korabli?
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
  Czy z rąk jednę miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
  Czy trup zadrżał? powiedz—czy się wzdrygnął?

Bo on wiedział, że przyjdzie godzina,
  Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
  W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zrzuci zabójcze
  I na ojca trup—zawoła: Ojcze!

Ale przyszli go z grobu wyciągać;
  Obce twarze zajrzały do lochu;
I zaczęli prochowi urągać,
  I zaczęli nań wołać: "Wstań prochu!"
Potem wzięli tę resztkę zgnilizny
  I spytali: "Czy chcesz do ojczyzny?"

Szumcie, szumcie więc, nieba lazury,
  Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
  I patrzajcie nań wieków oczyma!
Ta na morzu mew girlanda szara,
  Jestto flota z popioły Cezara.

Oto patrzą szatany występne,
  Patrzy blady księżyc z poza lodów;
Orły siedzą na trumnie posępne,
  I ze skrzydeł krew sączą narodów;
Orły niegdyś skrzydlate i dumne
  Już nie patrzą na słońce, lecz w trumnę.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
  Gdy zagrają trąby wśród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,

Ale hasło pogrzebne lamentu;
Raz ostatni hetmanisz ty roty,
Duch zwycięży—lecz zwycięztwem Golgoty.

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś wśród jęku
Z taką straszną królewską powagą,
Z takiem okropnem na przyszłość obliczem,
Jak dziś prochu, gdy wracasz tu—niczem.

W Czerwcu 1840 roku.



DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych;
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że wróceniem mojem lat bym ci przysporzył;
Wszakże gdy się spytają, czy twój syn powraca,
Mów: syn twój na sztandarach jak pies się położył
I choć wołasz, nie idzie; oczy tylko zwraca.

Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Bo woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby... pić czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby—toby pewnie ciebie nie opuścił.



TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi kto szlachetny, nie był obojętny;
Dziś was rzucam i dalej idę w cień—z duchami,
A jak gdyby tu szczęście było—idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś—o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny—przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą,
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce—oddadzą;
Tak się matkom odpłaca świat, gdy proch odniesie.

Niech przyjaciele moi siedzą przy puharze,
I zapiją mój pogrzeb oraz własną biedę;
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeźli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie—ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę,
I zgodziłem się tu mieć—niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba—w aniołów przerobi.



TAK MI BOŻE DOPOMÓŻ.

Idea wiary nowa, rozwinięta,
W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie,
Cała gotowa do czynu i święta:
Więc niedaremnie, o! niedaremnie
Snu śmiertelnego opuściłem łoże;
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Mały ja, biedny—ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony;
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje,
I ze mnie piorun mieć będą czerwony,
I z mego szczęścia do szczęścia podnoże;
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Za to spokojność już mam i mieć będę,
I będę mocny—jak te, które wskrzeszę,
I będę wieczny—jak te, co zdobędę,
I będę szczęsny—jak te, co pocieszę,
I będę stworzon—jak rzecz, którą stworzę;
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam, czy wzrastać będą czy ucichać;
Jestto w godzinie wielkiej zmartwychwstania
Szmer kości, który na cmentarzach słychać;
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę;
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Widzę wchód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną....
Trzymając w górę palec podniesiony,
Idę z przestrogą—kto żyw, pójdzie za mną....
Pójdzie, chociażbym wszedłszy, szedł przez morze
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę....
Dane zwycięztwo jest nad umarłemi,
Dano jest wskrzeszać tym, co mają wiarę...
Na trumien reszcie—ja—pieczęć położę;
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Lecz tym, co idą—nie przez czarnoksięztwa,
Ale przez wiarę—dam, co sam Bóg daje:
W ich usta włożę komendę zwycięztwa,
W ich oczy ten wzrok, co zdobywa kraje,
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może;
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem;
Gdy wstanę—mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk—ludzkości całej będzie krzykiem,
Mój duch—aniołem, co wszystko przemoże;
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!



WYJĄTKI Z POEZYI ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

CZEMU MISTRZU MASZ SIWIZNĘ?

Czemu, Mistrzu, masz siwiznę
Stokroć młodszą mej młodości?
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jej kości.

Czemu, Mistrzu, dotąd tleje,
Żar ci w piersiach niezrównany?
Boś za młodu znał nadzieje,
A ja tylko zwątpień rany.

Z grobuś nieraz wyjrzał w górę,
Czuł już dreszcze zmartwychwstania,
Jam wciąż patrzał tylko w chmurę,
Która Boga mi przesłania.

Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznie trwały.

Więc już zwiądłem—gdyś ty dzielny!
Gdyś żyw jeszcze, mrę nikczemnie,
I nie będę nieśmiertelny!
Ach szczęśliwszyś ty odemnie.



ODPOWIEDŹ K. KOŹMIANA.

Wyniosły wieszczu! w męczeńskiej koronie,
Iskrę twych ogni wrzuciłeś daremnie,
Pruchno i popiół znalazła w mem łonie,
Ledwie zatlała, już zagasła we mnie.

Los i cierpienia wspólne nam są obu,
Gdy cios morderczy wydarł matce życie,
Ja płaczę, jak syn schylony do grobu,
Ty, jak od piersi oderwane dziecię.

Chcć mu pokarmu obca pierś nie skąpi,
Odwraca usta jakby od trucizny,
Cóż nektar matki dziecięciu zastąpi,
Więdnie bez niego — jak ty bez ojczyzny.

Ach krzep się! duszy niech cię wspiera siła,
Osierocony nie jesteś sierotą,
Ostatnie dziecię, co matka powiła,
Jest starszych braci pieszczotą.

Jego kwilenie rzewne przypomina,
Bolesnej straty ostatki,
Tem większy urok czerpa w niem rodzina,
Im podobniejsze do matki.

Wieszczu, z twych trenów smutku i żałości
Niech uzna Polska i potomność cała,
Jakiej ta matka godna jest miłości,
Co takich synów wydała.



WSTĘP DO "NIE - BOSKIEJ KOMEDYI."

Gwiazdy w około twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrzysz, jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem — chwale twojej niby nic nie zrówna.

Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Splatasz serca i rozwięzujesz gdyby wianek, igraszkę palców twoich — łzy wyciszkasz — suszysz je uśmiechem i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. Biada ci — biada. Dziecię, co płacze na łonie matki — kwiat polny, co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie.

Zkądżeś powstał marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie zobaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironii? — Kto ci dał zycie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać anioła chwilę, nim zagrzęźniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz czołgać i zadusić się mułem. Tobie i niewieście jeden jest początek.

Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich — twoje rozpacze i westchnienia opadają na dół i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jak one zaprzeczyły Pana.

Nie przeto wyrzekam się ciebie Poezyo, matko Piękności i Zbawienia. — Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywemi głosami twej chwały.

Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części

jego okazały, wielki; Pan, przed którym się uniżają stworzenia i mówią: On jest tutaj. — Taki cię będzie nosił, gdyby gwiazdę na czole swojem, a nie oddzieli się od twej miłości przepaścią słowa. — On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawcześnie i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłemi się bawi i grobowy wieniec splata sobie przez całe życie. — Temu i niewieście jeden jest początek.



ZAKOŃCZENIE "IRYDIONA."

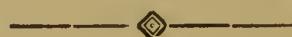
"Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów — poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci — po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy.

Idź i zamieszkaj wśród braci, których ci daję — tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoję ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać i męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje!

Idź i ufaj imieniowi mojemu — nie proś o chwałę twoję, ale o dobro tych, których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — one przeminą, ale i ty i słowo moje nie przeminiecie!

A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością.

Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako wprzódy było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym synem Niebios!”



RESURRECTURIS.

Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota!
Świat ten jak wieczna każdemu Golgota!
Darmo się duch miota,
Kiedy ból go zrani!
Na burze żywota
Nie ma tu przystani!
Los z nas szydzi w każdej chwili!
Dzielnych strąca do otchłani —
Giną święci — giną mili —
Żyją niecierpiani!
Wszystko się plącze — i nierozgmatwanie!
Śmierć w pobliżu — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
Zmartwychwstanie!



Więc trzeba skrzepnąć — stwardnieć — być bez serca!
Pośród morderców, stanąć jak morderca!
Pośród zbrodniarzy wystąpić zbrodniarzem?
Kłamać — nienawidzić —
Zabijać i szydzić - -
Tak świat, tem samem co dawa, obdarzem!
Oto potęga! — lub stańmy się niczem!
Jedzmy i pijmy — bądźmy śmiecią złotą —
Ciała wygodą a myśli nędzotą —
Tak się do głupich i szczęśliwych wliczem?

O! nie! o Duchu mój!
Wstecz się cofnij — stój!
Nie taką to bronią
Na ludzkości czele
Z złem na ostre gonią!
Zła Ukróciciele!
Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie —
Oto dziejów lew!
A podłość czy pycha
To jednakże śmiecie,
Które w otchłań spycha
Lada dziejów wiew!



O! poznaj sam siebie!
Nie żądaj być panem
Jak Pan, który w niebie!
Ni chciej jak bydlę gnić nad paszy łanem!
Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem,
Bądź ty w człowieku męką z niebios rodem,
Bądź arcydziełem nieugiętem woli!
Bądź cierpliwością — tą panią niedoli —
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną — której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością — śród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju —
Bądź wiecznem pięknem — w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i Faryzeuszów
Bądź groźbą — gniewem — lub świętem milczeniem!
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem!
Bądź tym pokarmem, który serca żywi —
Bądź im łzą siostry — kiedy nieszczęśliwi —
A głosem męzkim — gdy się w męztwie chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani — bądź domem!
Tym, co nadzieję stracili — nadzieją!
A śpiącym trupio — bądź przebudzeń gromem!
W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania —
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
Bądź piekłem miłości!



W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci!

Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące
A będą z ciebie jednego — tysiące!
Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem!
Niech ból cię każden choć boli, nie boli!
W jednej twej piersi — bądź twym całym ludem!
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem!
Świętością w niewoli!

Nie spiesz się na śmierć — aż jak ziarno w ziemi
Myśl twa się w serca wsieje — i rozplemi!
Póki męczeństwo nie pewnią zwycięztwa —
— Twem dobrem tylko — a nie człowieczeństwa,
Unikaj męczeństwa! —
Marnej sławy wieńce
Chwytają szaleńce!
W niebezpieczeństw wiry
Skaczą bohatyry!
Lecz wyższa moc Ducha
Tych ułud nie słucha!

Dopiero kiedy jęczący dokoła
Dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła,
Byś ty się w odkup ofiarował za nie —
A usłyszawszy to ziemi wołanie
Ty padniesz duszą w pokornianej skrusze
U rostajnego obu światów proga,
I w twą rozsłaną tam przed Bogiem duszę
Spłynie śród ciszy natchnienny głos Boga
Wstań — i jak szermierz dobiegły do mety
Ze stóp twych strząśnij pył tego planety —
Wstań — i z miłości co gdy kocha, kona,
Odlatujące wznieś w niebo ramiona!
Wstań i do katów, co spieszą ku tobie
Sam spiesz się naprzód i witaj tych gości
Cicho, spokojnie, błogo, w bezżałobie —
Litośnym wzrokiem twej nieśmiertelności!
Wtedy świadectwem skończ w przyszłość obfitem,
Śmiercią, bądź życia najwyższym wykwitem.
Co świat przezwał snem i marą
Uczyń jawem,
Uczyń wiarą,
Uczym prawem,
Czemsiś pewnem i ujętem,
Czemsiś świętem
Co głęboko w serca
Jak sztylet się wwierca

I tkwi w nich bez końca,
Choć tylko je trąca
Westchnienia powieniem —
Aż świat twój morderca
Sam klęknie i wyzna,
Że Bóg i Ojczyzna
Narodów sumieniem!



Gdy z krwi płynnej twego ciała
Myśl twa szkarłat będzie miała,
Myśl twa będzie — światła prądem,
Skrzącym w górze Bożym sądem
Nad bezbożnych dolną zgrają. —
Jej nie dotrzymają
Ni męże, ni działa,
Ni kłamstwa, ni złudy,
Ni geniusz, ni chwała,
Ni króle, ni ludy!
I o trzeciej dobie
Na męki twej grobie
Ze zdarzeń powodzi
Po nad klęsk otchłanie,
Niezrodzone się narodzi —
Sprawiedliwość wstanie!



MODLITWA.

O Boże! błogosław tym, którzy patrzyli na mnie dobrem okiem, którzy witali mnie dobrem słowem, którzy natchnęli mnie dobrą myślą. Nie dozwól, o Panie, by wdzięczność moja ku nim rozwiała się marnie, daj jej życie i skrzydła, wydziel jej anielstwo, o Boże! nad nimi, niech ona dniem i nocą ich strzeże.

I smutki, o Panie, wzorem śniegów południowych niech wprzód się rozpłyną, nim serc ich dolecą! I boleść, o Panie, co nurtem płynie po ziemi, niech się zatrzyma u ich progu jak fala morska, z brzegu której sam rzekłeś: “ty nie pójdziesz dalej.”

A jeźli z przejrzenia Twego i sprawiedliwości Twej blizkie już czasy, w których po morzach i lądach głos jeden tylko słyszan będzie, głos utrapienia i boleści, w których każda rodzina i każdy naród pójdzie swoją drogą do grobu, ich przynajmniej zostaw razem około domowego ogniska — niech oni będą wybrani Twoi wśród świata towarzystw, jak Noe był niegdyś wybranym Twoim wśród świata natury.

Dom ich za to, że był arką gościnności, niechaj wzorem arki płynie wyżej od łez i krwi ludzkiej, bo nam! nam umrzeć trzeba w gniewie Twoim, o Panie!

Królowo niebios i Polski, nad córami Polski roztocz chwałę płaszcza Twego, bo myśli ich czyste nie są z tego świata, bo serca ich czyste przechowały miłość bliźnich i wiarę w Syna Twego, którego powtórna męka zaczęła się na ziemi, i dzień on niedaleki, w którym na nowo rozedrze się wielka zasłona świątyni, w którym szatan spojrzy dokoła i zgrzytnie z radości, bo nie ujrzy Boga. — W dniu owym strasznym okryj ich cieniem Twoim, przedziel ich od świata rojem promieni Twych, aż przeminie krwawa burza i zmartwychwstanie Pan!

Wiedeń w Sierpniu 1833 roku.

DO PRZYJACIELA.

Gdy czychał na mnie północny morderca,
Gdym nad przepaścią już się chylił dołem,
Tyś mnie wielkością swego zbawił serca,
Ty byłeś dla mnie widomym aniołem!
Nie onym w marzeń wyśnionym godzinie,
Co blichtrem skrzydeł błyska — aż przeminie,
Ale aniołem w duchu, w prawdzie, w czynie —
Tym, co nie łudzi, ani się przymila, —
Lecz strzeże wiecznie, i zbawia co chwila, —
Opieką Bożą — w człowieka postaci.
Bratem niebieskim — pośród ziemskich braci —
Tarczą, obroną — czemsiś nienazwanem —

Za co dziękując, przyklękam przed Panem,
I proszę Pana: niech tobie zapłaci!
Bo sam tę wieczną czuję w sercu trwogę,
Że nic ci oddać ach! za to nie mogę,
Chyba to jedno, że z wiarą wciąż wołam:
Strzeż mię i kochaj! — nic więcej nie zdołam.

MODLITWA,

improwizowana na morzu pod Neapolem.

Panie! co czuwasz nad światem, który jest pięknością piękności, a stroną nocy, ni złego, ku Twym obliczom obrócony nie jest; wyrwij nas z cieniów, które spadły na nas; obudź nas ze snu, w którym marzym, że ból i smutek, zbrodnie i podłość przechadzają się w przestrzeniach, jak blade widma, jak dzieci nicości, jak ponure kłamstwa. Daj nam siłę szczęścia, — daj nam szczęścia siły! Dozwól, aby się nasze myśli wcielić mogły w Czyn, i abyśmy się stali całkiem na podobieństwo Twoje — i byli dziećmi Twemi w Prawdzie, a dziećmi silni potęgą Ducha, który nieskończenie tworzy, bo wiekuiście kocha. Amen.

PRACA.

Dwie posłanki z dworu Pana
Idą ku nam zawsze z rana,
Siostrami wzajem się głoszą,
Na wagach dary roznoszą;

Ta do trwogi lub tęsknoty
Mięsza chwałę, kruszec złoty;
Z płochości albo obłudy,
Fortuną zowią ją ludy.

Druga skromnie między gaje,
Między pola się udaje,
W kłosistym wieńcu na czole,
W ochoczem stawia się kole;

Zdrowiem, szczęściem darząc życie,
Lubi trudy i ukrycie,
A pracy bóstwem się mieni;
Jej siostra mało ją ceni.

Do niej spieszcie, ziemi dzieci,
Którym świetny los nie świeci,
Bo ona o was troskliwa,
Fortunie klucze porywa,

Napój mieni w nektar boski,
Radość budzi, tuli troski,
Kwitnące wije wam zdrowie,
I z maku ściele wezgłowie;

Jako matka ubłagana,
Wiedzie córkę do młodziana,
Co niegdyś płocha, wstydliwa,
Dziś śluby czyni mu tkliwa:

Tak swobodę praca rodzi,
Tak ją sama w dom przywodzi,
Bez matki zawsze jest płocha,
Z jej tylko ręki nas kocha.

Kto ku pracy ręce skłoni,
Nie uniży w dworach skroni,
Walności bóstwo mu wszędzie,
Dni złotych pasmo uprzędzi;

Dla poddańców uprzedzenia,
W niewolnika się zamienia.

Psuć myślom skrzydeł nie daje,
Bezkarnie z prawdą przestaje.

Przeto komu kwitnie zdrowie,
Niechaj możnym hołd wypowie,
Śpiewając pieśni swobody,
Niech mija zamki i grody.

A gdziekolwiek z losem zajdzie,
W całej ziemi matkę znajdzie;
Bo praca skarbiec dziedziczy,
Którego nigdy nie zliczy.

Kazimierz Brodzinski.

CHORĄGIEWKA.

Luby! niech do boju tobie
Jeszcze chorągiewkę zrobię.
Gdy pojedziesz w krwawe boje,
Zwieś na dzidę pracę moję;
Niech powiewa ku tej stronie,
Gdzie twa luba we łzach tonie.

Niech jej szelest co godzina
Moję chatkę przypomina,
Smutek ojców i kajdany,
Spustoszone nasze łany.
Lecz kochanku! i przy chwale,
Miej w pamięci moje żale.

Białą barwą jedna strona,
Druga czerwoną znaczona.
Ta niewinność wojny znaczy,
Druga rozlew krwi, rozpaczy,
A pod orłem razem spoję
Z mem imieniem imię twoje.

Pomnij zawsze w ciężkiej sprawie
O kochance i o sławie;
Gdy ulegniesz obcej broni,
Wtedy znak mój odrzej z broni,
Niechaj szydzący nie czyta,
Czyja tu cyfra wyryta.

Kazimierz Brodziński.

BRAT I SIOSTRA.

Brat. W kącie szkolna teka leży,
Tęskność już mię z domu woła;
Czas niezwrotny prędko bieży,
Mnie zatrzymać nic nie zdoła.

Siostra. Moje już lalki stargane,
Matce być mogę przy boku;
Raczej ja w domu zostanę
Czekać mojego wyroku.

Brat. Muszę widzieć Rzym wspaniały,
Gdzie ojczyzny życiem żyli,
Tam to umiał syn dla chwały
Święcić życie krótkiej chwili;
Muszę przebyć skały, morze,
Mnie nauką wszystko będzie:
Dla człowieka jest przestworze,
Los potrzeba ścigać wszędzie.

Siostra. Nasi tu leżą wodzowie,
Także ojczyznę kochali,
Śpiewak domowy opowie
Sławę ich serca i stali.
Nigdy ja domu nie rzucę;
Miła mi grządka, choć mała;
Tu niech się cieszę i smucę,
Kędym kwiateczki posiała.

Brat. Mnie się co nocy śnią wojny,
Drży mi serce, gdy je słyszę,
Dla ojczyzny młodzian zbrojny
Mieczem swoję pamięć pisze.
Muszę wsławić plemię moje,
Wolę imię, niźli życie;
Pójdźcie wrogi staczać boje,
Grób w mej ziemi wywalczycie.

Siostra. Matka i ojciec są starzy,
Tęskny im czas tego świata,
We dnie i w noc mi się marzy,
Jak im osładzać ich lata.
Cichym ja pracom i cnotom
Będę poświęcać się cała,
Szyła sukienki sierotom,
Chorych, ubogich wspierała.

Brat. Jeden Bóg jest ojcem świata,
Cała ludzkość jest rodzina,
W każdym stanie widzę brata,
W każdej wierze niebios syna.
W czasie żyję, chcę go użyć,
Niech do dzieła każdy stawa;
Mam-li władać, albo służyć,
Muszę słuchać, żądać prawa.

Siostra. Dobrze mi z ojców mych Bogiem,
Tajne są moje życzenia,
Składać przed Jego chcę progiem
Żale i tęskne marzenia.
Trzeba się poddać i znosić,
Bóg to w mądrości uznaje,
Trudno-li szczęście wyprosić;
Niechaj cierpliwość nam daje.

Brat. Pełna kwiatów każda łąka,
Do słodyczy wszystkie nęcą,
Wolny niech się motyl błąka,
Łatwo wszystkie listki świecą,
W kochającym żyjem świecie,
Trzeba kochać, czas ubiegnie,
Lecz i wolność miły przecie,
Ta miłości nie ulegnie.

Siostra. Liczba motylów niemała,
Płocho się każdy z nich bawi,
W domu ja będę czekała,
Póki się dobry nie zjawi.
Jemu się poddam, zawierzę,
Wiernie kochając i szczerze,
Zmuszę do statku i wiary.

Brat. Niech cię zwabi tobie miły,
Pójdziesz z nim na koniec świata,
Nad twą bojaźń i nad siły,
Rzucisz ojca, dom i brata.

Siostra. Serce kochane i stałe,
Ciebie jagnięciem uczyni,
Wolność poczujesz i chwałę,
Przy niem żyć będziesz w pustyni.



MŁODZIENIEC I DZIADEK.

Młodzieniec. Dziadku, gdzie tu dostać chleba?

Dziadek. O! po chleb rano wstać trzeba,
Bo droga przykra i długa:
Najlepiej ująć się pługa;
Za pługiem będzie chleb znojny,
Ale zdrowy i spokojny.

Młodzieniec. Gdzież tu są dziadku, zabawy?

Dziadek. Sześć dni drogi do nich będzie:
Sześć dni obchodź twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie,
Zysk obrachuj; potem śmiele
Hasaj sobie przez niedzielę.

Młodzieniec. A gdzie też tu szkoła będzie?

Dziadek. Szkół i mędrków jest dość wszędzie.
Lecz w kółko chodząc, czas stracisz,
Zawrotem głowy przepłacisz.
Ale jest na niebie karta,
Dzieciom ziemi wciąż otwarta;
Jest i książka ziemi matki,
Z której uczy wszystkie dziatki;
Jest i serce, są i ludzie;
W zyskach, stratach, fraszkach, trudzie,
Jedni drugich uczą sami.
Czule, czynnie, puść się w drogę;
Ucz się własnemi błędami;
Nie leń się szukać, a znajdziesz.
Niewiele pytaj, a znajdziesz.

Młodzieniec. Gdzie tu znaleźć przyjaciela?

Dziadek. Tego tylko los udziela;
Nie złowisz go wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą,
Kto wczas zyskał przyjaciela,
Pociech i troski spólnika,
Niech w pełni serca wykrzyka;
Bo jako powietrza ciału,
Tak duszy trzeba udziału.
Kto będzie w słowa oszczędny,
Tobie otwarty a względny;
Jeżeli, nie wiedzieć czemu,
Tęskno ci będzie ku niemu;

Gdy, i milcząc tobą władnie,
Skryty twój smutek sam zgadnie,
Kiedy złe i dobre swoje
Z tobą rad święcić łzą tajną:
Jeźli poświęcenie twoje
Przyjmie jako rzecz zwyczajną:
Wykrzyknij, pełen wesela,
Że znalazłeś przyjaciela!

Kazimierz Brodziński.

ŚPIEW POETY.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie śrebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.

Lecę — gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę;
Piękność, miłość, czucie, wiarę,
Na ogniwo spajam złote.

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko pięknie tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwie ją zachwyca.

Łza na krótko oko cieni,
Częściej płoną w nim rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Z niewcielonych gdzieś tam światów
Garnę myśli — uczuć skarby;
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby.

Oto w słońcu płyną łany,
Tchem wiośnianym pieści ranek
Czemu tęsknię zadumany,
Czegoś szukam, jak kochanek.

Wszystko kwitnie, wszystko woni,
Sympatyczne czucia wznieca;
Kwili słowik u jabłoni,
Zapłonionej jak dziewica.

Brzmią śpiewacy polni, leśni,
Pierś podnosi rzewnośc błoga;
Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga!

Brzmią śpiewacy... i na przemian,
To na dole, to na górze;
To dla niebian, to dla ziemian;
Wtórzą dla mnie! dla nich wtórzę.

Tak przebiegam różne tony,
Pierwej sercem dźwięk pogodzę;
I czyściejszy, upiękniony
Po samotnej puszczam drodze.

Myśl mej pieśni nie przekwita,
Jako niebo, serce, wiosna;
Wiecznie świeża, rozmaita,
I dziewicza i miłosna.

Coraz w gaju śpiew ucicha,
Wolno buja kilka chwilek;
I z wonnego róż kielicha
Piję balsam, jak motylek.

Znowu lecę między ziółka,
Między gaje, łąki, wody;
Biorę miody, a jak pszczółka
Nie dla siebie biorę miody.

Gdy w polocie mym znienacka,
Coś mię draśnie lub ukole,
Widzę w koło piękne cacka
I jak dziecię koję bole.

Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
Błogo w lubym żyję błędzie;
Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
Lecz gdzieindziej kwitnąć będzie.

Czara życia nie wciąż miodna:
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcianin, spełnię do dna,
I — wesoło spojrzę w nieba.

Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi — u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

Bohdan Zaleski.

PIEŚŃ
na mogile Tadeusza Kościuszki.

Tutaj to w sercu tej świętej mogiły,
Prochy mych braci zamknięte,
Prochy wielkie, prochy święte,
Pola Racławic dytychczas płodniły.
  Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
  Bądź ich aniołem, prosimy za niemi!

Ojcowie kwiaty w tych prochach posieli,
Posieli kwiatów zarody,
Co na tryumfach swobody
Zwycięzkim wieńcem ustroją mścicieli.
  Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
  Bądź ich piastunem, prosimy za niemi.

Dopóki Wawel skargami boleści
Będzie jęczał w burzy tonie,
Niech dopóty na ich łonie,
Oko księżyca rosy nie popieści.
  Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
  Kryj je przed światem, prosimy za niemi!

Aż kiedy drobna gwiazdeczka ostrzela
Wnętrzną mogiły ciemnicę,
To przyjdą nasze dziewice
Po kwiat tryumfu ze łzami wesela.
  Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
  Pozwól im kwiatu, prosimy za niemi!

Wezmę ja dzisiaj do swojej zagrody
Szczyptę tej ziemi w zarobku,
Poczem wierzch dziki nagrobku
Zostanie naszej ołtarzem swobody.
  Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
  Czuwaj nad nami i modły naszemi.

S. Goszczyński.



Z POEZYI FR. MORAWSKIEGO.

PO CÓŻ GONIĆ ZA SZCZĘŚCIEM.

Po cóż gonić za szczęściem po tej łez dolinie,
Gdy zaledwie schwycone, już na zawsze ginie;
I kiedy nic w tem życiu tak ciężko nie boli,
Jak gdy się znikłe szczęście przypomni w niedoli!

Po cóż gonić za szczęściem, które gdy się straci,
Już go żadne późniejsze sercu nie odpłaci;
Zawsze to, co już grobów pokryło się mrokiem,
Milszym przez mgłę przeszłości nęci nas urokiem.

Po cóż gonić za szczęściem, gdy już życie mija,
W wiośnie się tylko serca kwiat szczęścia rozwija;
Pod słońcem on młodości rozkwita jedynie,
Raz on tylko wystrzela a na zawsze ginie.



TRZY MOGIŁY.

Trzy góry znojem sypane narodu,
Lackiego Nilu piramidy wzniosłe,
Trzy groby, z grobu ojczyzny wyrosłe
Stoją w obliczu królewskiego rodu.
Stoją — jak bardy, co w przyszłość daleką
Sędziwą sławę swojej głoszą ziemi,
Jak Alpy czasu, pomiędzy któremi
Przeszłość tak pełną przepłynęła rzeką.
Mieszczą się wśród nich całe lat tysiące,
I z pełnią chwały i z zagubą bratnią,
Słońce chrobremu ludowi świecące,
Weszło nad pierwszą, zgasło nad ostatnią.



IZRAELICI W NIEWOLI.

Płaczcie, wy, co nad Fratu płakali strumieniem;
Których ołtarz ruiną, ojczyzna marzeniem:
Płaczcie! Strzaskana Judy arfa nieszczęśliwa,
Płaczcie! bo gdzie Bóg mieszkał, bezbożnik przebywa.

I gdzież wreszcie Izrael krew nóg swych obmyje?
I kiedy hymn Syonu przestanie być jękiem?
Kiedyż znowu o smutne serca się odbije
Ta pieśń Judy, co wdzięcznym poiła je dźwiękiem.

Gdzież spoczniecie, i w którą udacie się stronę,
O! smutne pokolenia, dawniej Bogu miłe!
Ptaszek ma swoje gniazdo, dziki zwierz zachronę,
Wszyscy mają ojczyznę, Izrael mogiłę.



POZWÓL SIĘ SPODZIEWAĆ.

Zbił grad na łanie całą żniw nadzieję,
Nie ma i kłosa na wieniec żniwiarzy,
Cóż czyni rolnik? na nowo ją sieje,
I przyszłość lepszą znów marzy.
    O nie broń, nie broń urojeń mych pola
    Ziarnem nadziei obsiewać.
    Wzrosła ku niebu już Polski niedola,
    Pozwól się, pozwól spodziewać.

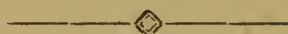
Zasnął sierota na cierniu boleści,
Roi nadzieję, matki swej życzenia,
Z młodą się myślą promyk szczęścia pieści,
Senne mu złoci marzenia.
    Czy chcesz z omamień wypędzić go kraju?
    Czy chcesz sen złoty rozsiewać?
    Nie budź go, przebóg nie wypędzaj z raju
    Pozwól się, pozwól spodziewać!

Spartański szkielet przebił lat tysiące,
Zbudził się powstał, odział blaskiem chwały,

A prochy polskie jeszcze tak gorące
Jużżeby ożyć nie miały!...
    Będą je, będą wszystkie syny dzielne
    Ogniem serc swoich rozgrzewać,
    Błyszczą z popiołów iskry nieśmiertelne,
    Pozwól się, pczwól spodziewać.

Jeszcze Bóg dobry dawnych zdolny cudów,
Jęk go nasz w górnej krainie dolata.
Słychać, jak huczy wielka burza ludów,
Wre, grzmi, tętni wulkan świata.
    Kończą, już kończą law tych groźne wary
    Na piorun zemsty dojrzewać, —
    Nie — nie zawodzi niebo silnej wiary!
    Pozwól się, pozwól spodziewać.

Pozwól się patrzeć w gwiazdę marzeń tkliwych,
W kwiaty nadziei grób Polski przybierać;
Nadzieja wsparciem, życiem nieszczęśliwych;
O nie dajmy jej umierać.
    Póty lud żyje, póki nie przestaje
    Pieśni nadziei swej śpiewać,
    Nią się on budzi, przez nią zmartwychwstaje,
    Pozwól się, pozwól spodziewać.



JAGNIĘ.

Maleńkie jagnię w pewnym wielkim lesie,
Płacząc i biegnąc, gdzie je rozpacz niesie,
Takim zwierzęta przyzywało głosem:
Zlitujcie się nad mym losem,
Moją dolą opłakaną;
Wspomóżcie biedną sierotę,
Ścigajcie wilka niecnotę;
Porwał mi matkę kochaną!
Przez wzgląd na całe rodzeństwo,
Na publiczne bezpieczeństwo,
Zbierzmy się razem, zbierzmy,
I na tyrana uderzmy. —
Zachowajcie to w wspomnieniu,
Co wam żal mój przepowiada:

Zaczął na owcy, skończy na jeleniu,
I tak nas wszystkich pozjada.
Zbiegły się zewsząd liczne zwierząt trzody,
Tkliwym nieszczęścia przywołane głosem.
Każde okropnej słuchało przygody,
Każde nad swym drżało losem.
Zając rozmyślał o swej nędzy, biedzie,
Jeleń łzy ronił nad dolą zwierzęcia;
Lis burzył, dzik się srożył, mruczały niedźwiedzie,
Ale nikt nie wsparł jagnięcia.
Lecz pocóż biedne zwierzęta oskarżać,
Poco bajkę stwarzać?
By widzieć ciągłe niewinnych nękanie,
Płonne z przemocą zapasy,
Słyszeć daremne na bliźnich wołanie,
Potrzebaż iść w lasy?

Fr. Morawski.



WSTĘP DO PIEŚNI JANUSZA.

Śpiewak wita wasze strony:
Niechaj będzie pochwalony!
    Pokój z domem tym!
Śpiewak wita w ojców wierze,
A kto w dom go przyjmie szczerze
    Pieśń i Pan Bóg z nim!

Pieśń ojczysta, narodowa,
Prosta, rzewna a surowa,
    Jak nasz lud i czas,
A więc w imię pieśni waszej,
Dziejów waszych, i krwi Laszej,
    Witam, witam was!

Lubię tylko powitanie,
Niech też po mnie tu zostanie
    Ten jedyny ślad;
Byście rzekli: Tu przebywał,
Tutaj Janusz nam zaśpiewał,
    I gdzieś ruszył w świat.

Byłem w Litwie i w Koronie,
Byłem w tej i owej stronie,
Byłem tu i tam;
Od Beskidów do Pomorza,
Z Litwy aż do Zaporoża
Całą Polskę znam.

Znam to całe szczere plemię,
Polskie morza, polską ziemię,
I tę polską sól:
I o wszystkiem marzę, roję,
I to wszystko niby moje,
Nibym polski król.

Choć nieznany i ubogi,
Gdy nawiedzę czyje progi,
Każdy z duszy rad;
Czy to w dworze, czy w klasztorze,
Na słobodzie, czy w gospodzie,
Wszystkim Janusz brat.

Kędy bracia moi smutni,
Brat po mieczu i po lutni,
Niosę piosnkę im,
I obecną słodząc dolę,
Na Grochowskie ciągniem pole,
A sławą brzmi rym.

Czasem brząknę mej drużynie,
Kiedy czarna chwila minie,
I weselszy śpiew:
O Krakusach dzieciom nucę,
A powiastką w starych cucę
Staropolską krew.

Nieraz z dziadem w puhar dziarsko
Na powiastkę brząkniem Barską,
Sławiąc polski ród;
Wówczas stary wre jak z młodu,
Woła wnuczkę: "Nalej miodu!
Boć to polski miód."

A cóż w świecie nad miód polski?
Nad kord stary, snop podolski,
I nad polski śpiew?
Nad kraj wolny, własną niwę,
I te Polki czarnobrewe,
I tę polską krew?

Siostry moje! córy Piasta!
Zkąd to serce w piersiach wzrasta?
    Zkąd ta dusza wam?
Co to w piersiach waszych wierzy?
Co za dobro dla was leży
    Za bojami tam?

My tej ziemi się dobijem,
Lub w mogiłach znów ożyjem
    W dziejach ziemi tej;
Lecz kto groby wam ocuci?
Kto wam waszę młodość wróci?
    Te nocy i łzy?

O! i jam znał takie bole;
Lecz o młodość, o mą dolę
    Nie pytajcie mnie:
Dość wam żem ja z krwi ochrzcony,
Żem w nieszczęściu poświęcony
    Znał niejednę łzę.

Moja skarga was nie znudzi;
Ja pieśń z ludu mam dla ludzi,
    Żale toną w głąb;
Mego serca pieśni własnej
Słucha tylko miesiąc jasny,
    I stuletni dąb.

Hej mogiły! skały! zdroje!
Stepy! Orły! dęby moje!
    Z wami ja się znam.
Lecz ty, dziatwo, żądasz pieśni,
To już sobie Janusz nie śni;
    Cóż zaśpiewać wam?

Czasem śpiewak zgadnąć umie,
Co się w głębiach piersi tłumi,
    Bo i w nim ta krew;
Więc o Lachu, o orlęciu,
I o krzywej szabli cięciu
    Przynosi wam śpiew.

Bo to straszne sądy Boże,
I krew Lacka cuda może,
    Jest i w śpiewie jad.
"Jeszcze Polska nie zginęła!"
Toć ta piosnka rdzą przecięła
    Więzy tylu lat.

Lecz czy znacie co to boje?
Co to orły? Co to zbroje?
I co wrogów dłoń?
Ile krwi się w sercach piekło?
Ach! a ile jej wyciekło
Na ojczystą błoń?

W. Pol.

ORACZ DO SKOWRONKA.

I.

Już ty śpiewasz skowroneczku,
Już też i ja orzę,
I my ludzie i wy ptaszki,
Wszystko dzieci Boże.

Człowiek w polu gospodarno
Pracować się sili,
Ptaszek bierze swoje ziarno
Z zimowych badyli.

Tyś skowronku mój towarzysz,
Choć w nierównej doli,
O kochaniu jeno marzysz
Twemu sercu gwoli.

Tyś szczęśliwy i wesoły,
Gdy jutrznia poranna,
Lecisz w górę, by z anioły
Zaśpiewać hosanna!

Z twej piosenki rade nieba
I Pan Bóg się cieszy,
Że ptaszkowi mało trzeba
I dziękować spieszy,

Że różnemi gwarząc tony,
Głosisz w kraj daleki:
"Niechże będzie pochwalony,
Na wieki! na wieki!"

II.

Już ty śpiewasz skowroneczku,
Już też i ja orzę,
Lecisz w niebo, za oraczem
Pomódl się nieboże!

Mów, żeś krążąc wedle sioła,
Widział biedy nasze,
W głodzie wiosna niewesoła,
Jako wiosny ptaszę,

Człowiek świtem ze snu wskrześnie,
Ale rąk nie dźwiga,
Chciałby śpiewać świętą pieśnię,
Głodna pierś zastyga.

Za nic wiosny widok rzewny,
I krasna jutrzenka,
Gdy co ranka głos cerkiewny
Po umarłych stęka.

Dziatwa jęczy, człek się błąka,
Z łez świata nie baczy;
Wiosną życie dla skowronka,
A śmierć dla oraczy.

Módl się ptaszku, Bóg wzruszony
Doda nam opieki;
I niech będzie pochwalony,
Na wieki! na wieki!

Wł. Syrokomla.



ROZBÓJNICY.

Trzy góry wyniosłe
Drzewami porosłe,
A rzeka u spodu gór:
Płaszczyzna za rzeką
Ciągnie się daleko,
A w głębi czernieje bór.

Gdzie góra środkowa
Tam w grocie się chowa
Mnich Jan, chcąc samotnie żyć;
Lecz braci niemało
Do niego przystało,
By Stwórcę w pustyni czcić.

Lud widząc wzorowe
Ich życie surowe,
Obfite jałmużny słał;
Przez niedługie lata
Świątynia bogata
I klasztor na górze stał.

Skarbami dźwignięty
Od królów gmach święty
Nie ma tyle łaski sił:
Jak ten co postami,
Czuwaniem i łzami
I modły wzniesiony był.

Raz w północnej chwili
Tam zbójce przybyli,
Pragnąc zrabować ten gmach:
Blask w oknie wciąż błyska,
I patrzą tam z blizka,
A nagle zdejmuje ich strach.

Bo zbójce ujrzeli,
Że krzyżem wśród celi
Leżał i modlił się Jan:
Lecz trudny był połów,
Bo przy nim aniołów
W około postawił Pan.

W niezmiernym przestrachu
Natychmiast od gmachu

W gęstwinę ruszyli w skok;
Strach przeszedł, i we dnie
Już mówią: to brednie,
Tuman omamił nam wzrok.

W noc drugą przychodzą,
Mur wielki znachodzą,
Co w koło otaczał gmach:
I to ich zdziwiło,
Bo we dnie nie było,
I znowu ogarnął strach.

Jan właśnie w tej porze
W koło przy klasztorze
Chodząc, na modlitwie trwał:
A szczere te modły
Mur wielki wywiodły,
Co w oku tych zbójców stał.

Strach przeszedł, i we dnie
Znów mówią: to brednie,
Tumanem zwiodła nas noc.
Porzucim ich cele,
Bo tylko w kościele
Skarbów zebrana jest moc.

I w nocnej godzinie
Przyszli pod świątynię,
Blask widzą i słyszą śpiew;
I mówią: znać rano,
Nim modły ustaną,
Skryjmy się w gęstwinę drzew.

Idą do świątnicy
Wszyscy zakonnicy,
A zbójców ogarnie gniew.
Tfu, czy czarów siła
Tak nas omamiła,
Żeśmy słyszeli ten śpiew?

Obstąpmy do koła,
Wpadniem do kościoła,
I mnichów wytniemy w pień;
Gmach złupim do szczętu
Ze skarbów i sprzętu,
Nim jeszcze zabłyśnie dzień.

Gdy kościół obtoczą,
I do drzwi przyskoczą,

Cud straszny wstrzymał ich krok:
Gmach wzbił się od ziemi
I zawisł nad niemi,
W zdumieniu podnoszą wzrok.

I żaden w kościele
Nie czuł jak Bóg wiele
Uczynił w modlitwy czas!
A zbójcy w przestrachu
Natychmiast od gmachu
Piorunem pobiegli w las.

Lecz kilku wróciło,
I w zakonie było,
Gładząc pokutą swój błąd;
A tych, których Boga
Nie tknęła przestroga,
Pojmanych ćwiartował sąd.

X. Hołowiński.

TYRTEUSZ.

Przez Władysława Anczyca.

Arystomenes w świątyni Ateny,
W pośrodku miasta, puklerz w boju zdarty
Zawiesił nocą. — Radość wśród Messeny,
Szalony popłoch powstaje śród Sparty.
Z murów, co dotąd nie zaznały trwogi,
Sromotny przestrach dawne męztwo płoszy,
Uchodzą wstydem pohańbione bogi.
Arystomenes Lakonią pustoszy,
I w serce miasta szle okrzyk zwycięzki,
A tam jęk — rozpacz!...
Ustały igrzyska
Wojennej młodzi: wciąż klęski i klęski,
A znikąd zbawcza nadzieja nie błyska.
Przy wspólnym stole nikt głośno nie gwarzy,
Bo strach niewoli usta lodem ścina,
I tylko radzą i radzą wciąż starzy,
I szlą do Delfów, do wróżb Apolina.

W przybytku syna Zeusa i Latony,
Gdzie wieszczka bogów w tajemniczej mowie,
Uchyla Grekom przyszłości zasłony,
Stają z darami spartańscy posłowie.
Nie znać w nich jednak tej spartańskiej buty,
Co ludom Grecyi w oczy kurz miotała;
Wzrok mężów chmurny, do ziemi przykuty,
A twarz od sromu blada i nieśmiała.
Wieńcami strojni i bielą odziani,
Słudzy Apolla zalegli świątynię;
Pada zwierz liczny dokoła otchłani,
Nad którą trójnóg w mgłach kadzideł ginie,
A nad nim Pytya.

W proroczym zachwycie
Z ust jej bezładne, dziwne płyną dźwięki,
Apollo głosi: "Spartanie! wam życie
I wolność wróci tylko z Aten ręki,
Ich więc błagajcie!"

Błagać? o! złowieszcze
Słowo! śmierć raczej z rąk mściwej Messeny!
Sparta ma błagać? błagać?! kogo jeszcze!
Zazdrosne wiecznie i wrogie Ateny?
Sparta nie znała ni srebra, ni złota,
Wymyślnej strawy, ni pysznego stroju,
Tylko żelazo: — a najpierwsza cnota
Spartańskich synów, ginąć za kraj w boju!
Sparta ilekroć za oręż porwała,
Zawsze zwycięzka. — Uległy Arkady,
Padła Tyrea, i Messena spała
W niewoli lata. — Śród całej Hellady
Jedne Ateny stały jej na drodze,
Na każdym kroku czyniąc Sparcie wstręty!
Ateny Sparcie, to cierń w krwawej nodze....
I dziś ich błagać?!

Ale wróg zawzięty
Pod samo miasto rozpuszcza pogonie,
Kwiatem młodzieży gęsto zasłał pola,
I szydząc poi w Eurotasie konie.
A Sparcie tylko już śmierć lub niewola!
Śmierć lub niewola!

O! jeszcze zawcześnie
Umierać Sparcie, choć przedśmiertne dreszcze
Przebiegły ciało, a duch porósł w pleśnie,
W schorzałej piersi bije serce jeszcze.
I krzew laurowy, gdy go dręczy spieka,
Opuszcza liście i zda się już ginie...

Lecz gdy wiatr spędzi nawał chmur zdaleka,
I deszcz ożywczy potokami spłynie,
Laur nową siłą odżyje wspaniale,
Świeże listeczki gałęzie odmłodzą,
A co niewola, nie wie Sparta wcale,
Bo niewolników jej córy nie rodzą.
Gdy nawą fala rozhukana miota,
Czyż hańbą szukać zbawienia śród burzy?
Z rąk Aten przyjść ma zbawienie żywota,
Z rąk Aten wolność Apollo nam wróży:
Słuchajmy bogów.

Wnet messeńskie straże
Omylił sternik, szybko z wiatrem leci;
Do Akropolu prostą drogę wskaże,
Bo Erychtona wóz na niebie świeci.
Nim księżyc nowym błyśnie Grecyi rogiem,
Pioruny straszne zagrzmią z gór Attyki,
Atene Aten, Ares Sparty bogiem.
Przed tem przymierzem drżyj, najezdzco dziki!
Nim wrócą posły, Sparta bogów błaga,
Czaty jej wbiegły na wzgórza, mórz brzegi,
Śledząc, czy rychło wionie zbawcza flaga,
Albo z gór spłyną ateńskie szeregi.
Złudne nadzieje! — Biegą dnie i noce,
Cisza — nad miastem krążą sępów roje,
Czasami w dali żagiel zamigoce,
Lecz skrzętnie mija lakońskie ostoje.
Złudne nadzieje! Próżno uchem męże
Pytają ziemi, — w ziemi spokój głuchy;
Czasami zda się, że dźwięczą oręże,
Nie: to wół w jarzmie potrząsa łańcuchy.
I wiele rzeki, wiele wód uniosły;
Z Aten ni flota, ni zbawcze zastępy,
Ni nawet własne nie wracają posły:
Tylko z północy gęste ciągną sępy,
I na wyżynach zasiadłszy Tajgetu,
O nagie skały poostrzają dzioby.
Za cóż wiatr wiosnę niesie od Miletu,
Flora po smugach rozściela ozdoby?
Za cóż gród słońce pozłaca uroczo,
W powietrzu drgają cudne kwiatów wonie;
Gdy syny Sparty zwątpiały wzrok toczą,
A córy we łzach załamują dłonie?

* * *

Z woli Eforów zbiera się lud mnogi,
A przed nim pyłem okryty mąż stawa,

I rzecze: — “Sparto! witam twoje bogi,
Jestem Ateńczyk!”
Cisza i wnet wrzawa
Rozbija chmury, — woła lud zdziwiony:
“Gdzie zbrojne hufce?”
Ateńczyk im na ten
Wykrzyk odpowie: “Przychodzę w te strony
Sam, — mnie wysłali archontowie Aten.
Młódź nasza w domu stali grotów ostrze
Przeciw Megarze; a najwyższa rada
Z lutnią i pieśnią w pomoc Sparcie siostrze,
Szle mię poetę Tyrteusza.”
“Zdrada!”
Ryknęły tłumy: “szydercy okrutni,
W strasznej niedoli, zamiast zbrojnych szyków,
Szlą nam pieśniarza. — Precz! nie dźwięków lutni:
Krwi nam potrzeba, krwi! krwi Ateńczyków!...
Śmierć Tyrtejowi!”
I już tłum rozżarty
Z okrzykiem: śmierć! śmierć! leci, już z wszej strony
Miecz błyska — a mąż rzecze: “Ludu Sparty!
Wszak jam bezbronny!”
I lud zawstydzony
Cofa się nagle sromem mordu tknięty;
Szmer tylko z piersi, a gniew z oczu tryska.
Tak Eurotasu wzburzone odmęty,
Kiedy napowrót wrócą do łożyska,
Ono im ciasne; więc w skaliste łomy
Bije nurt wściekły, miota się i dyszy,
Jak gdyby groził co chwila brzeg stromy
Przełamać znowu.
Wśród chwilowej ciszy,
Tyrteusz okiem pogodnem w około
Wiedzie, nietrwożny ni wrzawy, ni grotów,
I rzecze, jasne wznosząc w górę czoło:
“Jestem Ateńczyk, a więc umrzeć gotów
Gdy wam się zdaje, żem wniósł w wasze gniazda
Obelgę Aten i przyjaźni zdradę:
Lecz pozwól ludu, nim zagaśnie gwiazda,
Ostatnią pieśnią pożegnać Helladę,
Grecyi poświęcić gasnące strun dźwięki,
A tam do Aten, nad brzegi Cefissu,
Wiatry poniosą echa mej piosenki”.
Cisza tak wielka, że słychać szmer cisu,
Pod którym stoi wieszcz, a lud wzburzony
Nie śmie odrzucić tej ostatniej prośby;
A choć zniewagi tkwią mu w sercu szpony,

Milczy ponuro i połyka groźby.
A Tyrtejowe czoło opromienia
Niebiańska światłość, i męzkie oblicze
Niewysłowiony krasi wdzięk natchnienia,
I z lutni z razu nadziemskie, dziewicze,
Pełne a rzewne płyną w przestrzeń tony,
Jakoby z arfy czarownej Eola;
Znów jęczą dziko poszarpnięte struny,
A pieśń wylała straszna — jak niewola.

PIEŚŃ TYRTEUSZA.

Znacie ten kraj, co mu stopy skaliste
Zmywa toń mórz, a Olymp wieńczy skroń;
Kastalskich wód kryształy biją czyste,
Słowików pieśń i róż zachwyca woń?

Znacież ten kraj, co mężnych synów chwałą,
W daleki świat o sobie rozniósł wieść;
Potęgom burz nadstawia pierś zuchwałą,
I szydzi z tych, co mu chcą jarzmo nieść?

Znacież ten kraj, co dostał z bogów ręki,
Olbrzymią moc z harmonią cudną słów;
Gdzie wyrósł mąż, co lwom targał paszczęki,
I mieczem ściął siedm sprosnej hydrze głów?

Dziewiczych niw przemocą ani zdradą,
Aż po dziś dzień nie zdeptał obcy wróg;
Znacież ten kraj, nie znacie, nie! Hellado!
Ja ciebie znam i Ares, mężnych bóg.

Wyrzecz się ich, Hellado, ziemio święta!
Twym synem być wart tylko wolny mąż,
A Sparta kark w ohydne zgina pęta,
Messeno, pójdź! i lud ten podły wiąż.

W okowach wlecz do bram swojego grodu,
Na wieczny wstyd, do żaren męże kuj,
Lub sprzedaj ich, a dziewice z ich rodu
Do twoich uczt niech ślubny wdzieją strój.

Śród fletni brzmień niech w igrzysk spieszą koło,
I z wrogiem pieśń na Sparty wzniosą skon,
A zdobiąc w kwiat Arystomena czoło,
Włochatą pierś do czystych tulą łon.

Bo w Sparcie już krew starych ojców zmarła,
Od Aten chcą, aby im pomoc nieść,
I grożą im, a nie śmią wrogom z gardła
Ojczyznę krwią wydrzeć, wolność i cześć.

O światło, zgiń! niech nigdy promień słońca,
Nie spłynie już w skalany trwogą gród;
Niech straszny mrok, panując tu bez końca,
Skryje ten wstyd, co podły hańbi lud.

Ten wolny nurt, co mężnych krzepił znoje,
Niech wyschnie wraz, niech w łożu pełza gad!
Przeklinam cię, Lakonio, i twe zdroje!
Niech zatrze czas istnienia twego ślad.

I matki te, co trwożnych synów dały,
Zeusie, zhańb! oblicza wstydem spal!
Niech łona ich poszarpią psy w kawały,
Lub własna dłoń zatopi w piersiach stal.

O Sparto, ruń! nim doznasz strasznej doli,
Nim zwiędnie laur, co kwitł na czole twem,
Nim syny twe przywdzieją strój niewoli:
Upadnij w gruz i hańbę przykryj nim!

O Sparto, ruń! Zanim ślad twej wielkości
Naddziadów grób, Messenów zburzy młot,
I na żer psom rozwlecze święte kości,
A przodków cień odpędzi od twych wrót.

Ty ludu! nim wróg w pętach cię powlecze;
Ojców twych broń po progach domów złam;
I w przepaść rzuć! niech nie wie świat, że miecze
Były śród was, a serca brakło wam!"

* * *

I pieśń skonała; z ostatnim akordem
Mistrz lutnię z żalu roztrzaskał o głazy.
Gdy igrał ze lwem i drażnił go mordem,
I serce hańbą poszarpał sto razy;
Gdy grobom ojców groził z wrogiej ręki,
Przeklął ojczyznę i łona cnych matek:
Lud milczał, bólem skamieniały męki;
Lecz kiedy wygrał już pieśni ostatek,
I pękły struny: wtedy, jak huk gromów,
Co walą skały i druzgocą lasy,
Jak trzask piorunów, co dno morskich fali
Palą swym żarem i niebo drą w pasy,
Z wzgórz, dolin, świątyń, przedsionków i domów,
Powstał krzyk jeden: "do broni! do broni!"
I z placów, ulic, ze wszystkich stron miasta,
Do broni! milion powtarza się razy,
Zda się, że ludność z pod ziemi wyrasta,
Lub w zbrojnych mężów zmieniają się głazy.

Hasłem “do broni! ”rozbudzona Sparta
Rzuca mdłe jęki i za oręż chwyta
I znowu silna, straszliwa, rozżarta,
Potężna, wielka, i walki niesyta.
Trzęsie się miasto od wojennej wrzawy,
Blednieje słońce od blasku oręża,
A naród chciwy rozpocząć bój krwawy,
Z zapałem wzywa ateńskiego męża:
“Prowadź nas, prowadź! ty staniesz za krocie,
Umrzem! lecz wolnej ziemi wróg nie zdepcze,
Umrzem! lecz dziewic nie damy sromocie;
Chce wróg krwi naszej, niechaj ją wychłepcze,
Chce wróg krwi naszej, niech ją pije rzeką;
Lecz precz z niewolą, my do niej niezdolni,
Z ostatnią kroplą sromoty wycieką,
I padniem wszyscy, ale padniem wolni!”
“Prowadź! niewiasty wołają i biegną,
Myśmy Spartanki, znamy się z żelazem;
Jeźli mężowie śród walki polegną,
Pobijem dzieci i zginiemy razem!”
I poszli....
Miasto długo pustką stało.
Słychać trąb odgłos, wraca lud zwycięzki,
I na zdobytych dźwiga tarczach ciało
Spowite w laury....
Oto wieszcz ateński!

Z POEZYI KOCHANOWSKIEGO.

O WIELKOŚCI BOGA.

Czego chcesz od nas, Panie! za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje,
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie! wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.
Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przekroczyć się boi,
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy mają,
Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie,
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej nizkiej ziemi,
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

PSALM VIII.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miece strzały swoje,
Wszędy jest zacne święte imię Twoje,
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twej wieczny Boże!

Niech zli, jako chcą, Ciebie mierzą sobie,
Z ust niemowlątek rośnie chwała Tobie
Ku większej hańbie i ku potępieniu
Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota;
Ty coraz nowem światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.

A człowiek co jest, że Ty niestworzony,
Wszystkiego Twórca i Pan niezmierzony
Raczysz go pomnieć? czem jest syn człowieczy
Godzien Twej pieczy?

Takeś go uczcił i przyochędożył,
Żeś go z anioły tylko nie położył;
Postawiłeś go Panem nad samemi
Czyny swojemi.

Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swawolne,
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?



ZACHĘTA DO SZANOWANIA DNI ŚW.

Dzieci rady mej słuchajcie,
Ojcowski rząd zachowajcie:
Swięto niechaj świętem będzie
Jak bywało przedtem wszędzie.

Święta przedtem ludzie czcili,
A przedsię wszystko zrobili:
A ziemia hojnie rodziła,
Bo pobożność Bogu miła.

Dziś bez przestanku pracujem,
I dniom świętym nie folgujem:
Więc też tylko zarabiamy,
Ale przedsię nic nie mamy.

Albo nas grady porażą,
Albo zbytnie ciepła karzą,
Co rok słabsze urodzaje,
A zła drogość zatem wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy,
Próżno bez Pańskiej pomocy.
Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.



NIE FORTUNIE LECZ CNOCIE UFAĆ TRZEBA.

Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko,
Miej na poślednie koła baczne oko;
Bo to niestała pani z przyrodzenia,
Często więc rada sprawy swe odmienia.

Nie dufaj w złoto i w żadne pokłady,
Każdej godziny obawiaj się zdrady.
Fortuna co da, to znowu wziąść może,
A u niej żadna dawność nie pomoże.

A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twej się fortunie nie tobie kłaniają;
Skoro ta zniknie, tył każdy podawa,
Jako cień, kiedy słońca mu nie stawa.

Lecz jako sama oczy zasłoniła,
Tak swem pochlebstwem ludzi pobłaźniła;
Że drugi wyżej nosa gębę nosi,
A wszystkich inszych oczyma przenosi.

Ty pomnij, że twój skarb jest w szczęścia mocy,
A tak się staraj o takie pomocy,
Aby wżdy z tobą co twego zostało,
Jeźli zaś będzie szczęście swego chciało.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi;
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi;
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkiem innem panuje przygoda.

DO ZDROWIA.

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.
Tam człowiek prawie
Widzi na jawie,
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie
Ani lepszego,
Ani droższego;
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,
Także wiek młody
I dar urody,
Miejsca wysokie,
Władze szerokie,
Dobre są; ale
Gdy zdrowie wcale,
Gdzie nie masz siły,
I świat niemiły.
Klejnocie drogi,
Mój dom ubogi,
Oddany tobie,
Ulubuj sobie.



UPOMNIENIE DLA RODZICÓW.

Toć grunt wszystkiego, byśmy Boga znali,
A Jemu sprawę wszego przypisali!
Kto się za czasu tego nie napije,
Człowiek na świecie niepobożnie żyje,
Tego swych dziatek starsi nauczajcie,
To wychowanie synom waszym dajcie.



DWA WYJĄTKI Z TRENÓW.

I.

Pańska ręka mnie dotknęła,
Wszystką mi radość odjęła;
Ledwie w sobie czuję duszę,
I tę podobno dać muszę.

Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie;
Mnie jednako serce boli,
A nigdy się nie utuli.

Oczu nigdy nie osuszę,
I tak wiecznie płakać muszę;
Muszę płakać; o mój Boże!
Któż się przed Tobą skryć może?

Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy;
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.

Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie;
A zazdrość i złe przygody,
Nie miały mi w co dać szkody.

Lecz Pan, który gdzie tknąć, widzi,
A z przestrogi ludzkiej szydzi,
Zadał mi raz tym znaczniejszy,
Czymem już był bezpieczniejszy.

A rozum, który w swobodzie,
Umiał mówić o przygodzie,
Dziś ledwie sam wie o sobie,
Tak mię podparł w mej chorobie.

Czasemby się chciał poprawić,
A mnie ciężkiej troski zbawić;
Ale gdy siędzie na wadze,
Żalu ruszyć nie ma władze.

Próżne to ludzkie wywody,
Żeby szkodą nie zwać szkody;
A kto się w nieszczęściu śmieje,
Jabym tak rzekł, że szaleje.

A ja zatem łzy niech leję,
Bom stracił wszystką nadzieję;
By mię rozum miał ratować,
Bóg sam mocen to hamować.

II.

Moja wdzięczna Urszulo, bodaj ty mnie była
Albo nie umierała, lub się nie rodziła;
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,
Za tem nieodpowiedniem pożegnaniem twoim.

Omyliłaś mię, jako mocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy;
Potem nagle uciecze; a temu na jawi,
Z onych skarbów jego chęć a żądzę zostawi.

Takeś ty mnie, Urszulo droga, uczyniła,
Wielkieś nadzieje w mojem sercu rozniecila;
Potemeś mię smutnego nagle odbieżała,
I wszystkie moje z sobą pociechy zabrała.

Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, duszy połowicę;
Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę.
Tu mi kamień mularze ciosany połóżcie;
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydróżcie:

Urszula Kochanowska, tu leży kochanie
Ojcowe, albo raczej płacz i narzekanie.
Opakeś to niebaczna śmierci udziałała;
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała.



POGRZEB KOSCIUSZKI.

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystkie chłonie, — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot boleści,
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie! wraca w trumnie hetman ukochany.

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą,
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniej szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie, szlochająż jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci.
To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc, wykrzyka:
“Koso nasza, choć zdaleka patrz na Naczelnika.”

Oj panowie! zróbcie miejsce, niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumną miłowaną ich łza szczera skropi,
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

*

I na zamek między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia, złotem nabijana,
U jej proga stanął Kmita i “co zacz on?” pyta;
Swój! swój! świętszy od waszeci, — puszczaj mości Kmita.

Zaruszały się posągi, królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli,
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje,
I przemawia: “Ja król chłopków, rękę ci podaję,
Wżdy obadwa my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi, — ja pierwszy, ty drugi.”

Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław święty:
“Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,
Jeźli prawda, że krzyknąłeś raz — “Finis Poloniae!”

Na to hetman: "O mój ojcze! choć sercem przelękłem
Zanurzałem się w boleściach, tych słów nie wyrzekłem!
Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięła,
Z czego wkrótce pieśń urosła: "Jeszcze nie zginęła!"

*

Przy ołtarzu arcypasterz i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce, każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, stoją przed kościołem.

*

Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łono
W miejsce gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczono.

. . . .

. . . .

Ten co z pługiem może chodził w ubóstwie za młodu,
Spoczął w króla katakombie — hetman, król narodu!
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk rozpaczy: "Och, już go zamknęli!"

"Och, już wzięli Naczelnika, och, już ty nie naszy!
Ciemność sklepień, blask pozłoty, serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach.

Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące
Każdy ptak by ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobra wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,
Tybyś cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy,
Cóż dopiero kiedy kosy na sztorc nabijemy!

Jeźli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie,
Trudne pisma na nagrobkach, mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę: "A czyja to?" — spyta.

Tak lud żali się i marzy; urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa;
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskry z ducha.

*

I mogiłę wnieborowsłą sypie lud serdeczny,
Próżnaż ona! cóż w nią schować na spoczynek wieczny?

Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz —
Lud zatroskał się i myśli.... "Hej, do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
Więc tę ziemię krwią przesiąkłą bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament."

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopy i wcjacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmięszano a tlumnie,
Jak przykazał duch miłości pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia, — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: "Wyżej! wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie."
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie....

I urosła; już ją zewsząd widzi kraj daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie, a zostanie: Mogiła Kościuszki.

Kornel Ujejski.

KRZYŻYK ZŁOTY.

Dziecię. Mamo! daj mi krzyżyk złoty.
Matka. Dobrze, dziecię me kochane.
Krzyżyk będzie stróżem cnoty,
Doprowadzi cię do nieba:
Ale jedno przyrzec trzeba
Dziecię. O! ja na wszystko przystanę.
Matka. Oto pomnij: znak zbawienia
Na twej piersi odpoczywa.
Nie obraź niczem sumienia;
Niech się z ust twych wydobywa
Święta prawda, słowo Boże;
W dobrem krzyżyk dopomoże.
Kiedy złe powstaną chęci,
To miej krzyżyk na pamięci;
Kiedy serce smutek ściśnie,

To miej krzyżyk na pamięci;
Kiedy serce smutek ściśnie,
Rzuć nań okiem — radość błyśnie,
Bo Ten, który niebem władnie,
Ziemskie troski gładzi snadnie. —

Dziecię matki usłuchało,
Słodki pokój w sercu miało;
I nosząc ów krzyżyk złoty,
Codziennie wzrastało w cnoty.

S. Jachowicz.

NA OBCHÓD ROCZNICY ZGONU ADAMA MICKIEWICZA 1881 ROKU.

Jak stary guślarz wezwany na "Dziady"
Myślą i duszą staję pośród was —
I ku uczczeniu żałobnej biesiady
Radbym z przeszłości wskrzesić dawny czas.

By w nim jak z grobu wywołać przed oczy
Tego, któremu dziś składacie cześć,
A cała Polska z wami się jednoczy,
By w dniu tym wszędzie równy hołd mu nieść.

Ale, niestety, co pomogą chęci,
Kiedy mi na to nie stać ducha sił!
Więc patrząc chyba w obraz swej pamięci,
Po prostu tylko powiem, jakim był.

Co czuł, co myślał, gdzie wiódł, co zwiastował,
To wie z was każdy — nawet obcy świat,
Pod wpływem jego rozwił się i chował
Duch z was każdego jak paproci kwiat,

Co tajemniczym tchem gwiazd rozwinięty,
W świętą, cudowną świętojańską noc,
Wskazuje drogę, gdzie jest skarb zaklęty
I ku zdobyciu jego wlewa moc.

Toż jako Polska długa i szeroka,
Pieśń jego w sercach jednem echem brzmi,
I nie sztukmistrza arfy, lecz proroka
Naród w nim czuje, uznaje i czci!

Ale czy wiecie, w czem on za żywota
  Sam czerpał siłę i zkąd światło brał?
Bóg — wiara — miłość Ojczyzny i cnota —
  To były struny, na których duch grał.

Boga nie badał — lecz przy świetle wiary
  W Ojczyznie szukał woli Jego dróg;
Znał błędy ojców, znał braci przywary,
  Lecz jak syn tylko, jak brat, — nie jak wróg.

A cobądź cierpiał, cobądź sam doświadczał,
  Krzywd czy boleści, czy z dołu czy z wyż,
Że nie rozpaczał nigdy a przebaczał,
  W tem już podporą był mu tylko krzyż.

O! bracia moi, i gdyby w tej chwili
  Widomie jego objawił się duch:
Kto wie — lecz ktoby śmiał zaprzeczyć, czyli
  Nie temi słowy zabrzmiałby wasz słuch:

"Albowiem wiedzcie i zważcie u siebie,
  Że kto chce Polski wiernym synem być,
Światła i siły musi szukać w niebie,
  W ojczyźnie matkę — ojca w Bogu czcić!"

A. E. Odyniec.

KRAKOWIAK
u wodospadu Łaby w górach czeskich.

Spada strumień, spada,
Huczy z góry srodze;
Biada temu, biada!
Kto mu stanie w drodze.

Bo się strumień jasny
Rwie tak ku głębinie
Do tej wody własnej,
Co tam w dole płynie.

O bracia Słowianie
Biada! biada temu,
Na drodze kto stanie
Złączeniu naszemu.

Choćby był dębowy,
Na miazgę go zgnieciem;
Choćby był stalowy,
W bryzgi go rozmieciem.

R. Zmorski.

NA GROBIE JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Klątwy istnienia pęty żelaznemi,
Orle niebieski! do klatki skowany,
Krwawiąc pierś własną twardemi kajdany,
Z krzykiem rozpaczy rwałeś się od ziemi.
Aż, bezustannem szamotaniem ducha
Stargane, pękły ogniwa łańcucha—
I ty na trupie postawiwszy nogę,
Odszedłeś w duchów tajemniczą drogę.

Gdzieś—przez milczące wieczności przestworze—
Kroczysz, stąpając po gwiazdach błyszczących,
Jak pątnik górskich rzek wezbrane łoże
Po głazach z głębi przebywa sterczących.
Toż, chociaż w sercu smutno mi po tobie,
Dziwnie spokojny stoję na twym grobie;
Tak pewien jestem, że, jeźli ta droga
Ma koniec, dowieść musi cię do Boga.

Wszakże, pod kształty jakbądź promiennemi
Drogę ci ducha spełniać się dostało,—
Gdziekolwiek pójdziesz, wiem, przez wieczność całą,
Że smętny będziesz zwracać wzrok ku ziemi.
I wszystko niebios wesele tej twojej
Wielkiej boleści wiem, że nie ukoi,
Aż nie zobaczysz, że spełnienie wzięło
Na ziemi święte odkupienia dzieło.

Więc, jeżeli cię zdradziecko nie zwiodły
Życia twojego wiara i nadzieje;
Jeżeli mają władzę duchów modły
Na losy ziemi, na ludów koleje;
Módl się o jedno! którąś był natchniony,
Niech Bóg roździeli miłość na miliony,—
A odkupionej siłą tej miłości
Drogiej twej ziemi błyśnie dzień wolności.

R. Zmorski.



SŁONKO.

Wędrowało sobie słonko
Uśmiechnięte, jasne, złote,
Szło nad gajem, szło nad łąką,
Napotkało w łzach sierotę.—

Ten się żali: "Tak wesoło
Świecisz światu słonko moje,
Uśmiechami sypiesz w koło,
Gdy ja smutny we łzach stoję;

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą....
I nad każdą ludzką stratą,
Promienistą błyskasz tęczą."

Słonko na to: "Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach.

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną—
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając co kazano.

Nie pomogą próżne żale....
Ból swój niebu trza polecić—
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść... i świecić!"

A. Asnyk.



HUCZY WODA PO KAMIENIACH.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie—
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć nie zdolny,
Ten się szumem słowa pieści—
Potok głośny, a swawolny,
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje—
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje!

A. Asnyk.

KRAKOWIAK

Narcyzy Żmichowskiej.

On. Wezmę świecę i latarnię i głownię z komina,
Pójdę szukać, czy jest w świecie poczciwa dziewczyna.

Ona. Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne słońce,
Może znajdę w którem chłopcu serce kochające.

On. Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tem,
Że nie znajdzie najpoczciwszej, kto nie brzęknie złotem.

Ona. Toć patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,
Że z nich każdy czule kocha, lecz siebie samego.

On. Już znalazłem najpoczciwszą, znalazłem kochaną,
Piękną, cichą, ale w sklepie... lalkę malowaną.

Ona. Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie,
Piękny, dzielny, wojak młody... na starym portrecie.

On. Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
To może wojak z portretu na konika skoczy.

Ona. Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,
Może w lalce malowanej serce zakołata.

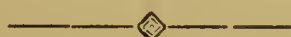
DO STANISŁAWA JACHOWICZA.

Życie Chrystusa w sercu się odsłania,
Jako księgozbiór dla wszystkich otwarty:
Lecz każda dusza patrząc w jego karty,
    Inną wybiera do naśladowania.
Jedni na puszczy ujrzawszy Chrystusa,
Duszę samotną zamykają w celi,
A tam ich czeka potrójna pokusa;
    Później im służą anieli.
Inni nie gardzą uciechami tłumu;
Widząc Go w blasku wśród kanejskich gości;
W biesiadzie ducha piją sok radości,
I święcą gody wiary i rozumu.
Inni Go widząc na górze skrwawionej,
Wszędzie szukają cierniowej korony.
Ale jest chwila Ukrzyżowanego,
Co naśladowców rzadko napotkała;
Pod cieniem palmy kwitną miękkie darnie,
Tam zasiadł Zbawca. Ciżba dziatek biała
    Do Jego kolan się garnie,
    A On im rzekł: "Błogosławię!"
Tę cudną chwilę wziąłeś Stanisławie
    Za wzór długiego zawodu.
Całe plemiona w twe objęcia biegą;
Tyś wykołysał kolebką narodu.



Więc gdy na ołtarz zasługi,
Stojący w progu niebiosów,
Jedni niosą mirę sztuki,
Drudzy łez perłowe strugi,
Ci zerwane badań łuki,
Tamci pracę pełną kłosów;
Ty, o pasterzu dzieciątek,
Wiedziesz do rajskiego progu,
Ofiarę najmilszą Bogu,
Bieluchną trzodę jagniątek.

Deotyma.



NADZIEJA.

Gdy ciemno w życiu, na niebios błękicie
Świecą trzy gwiazdy jasne, przezroczyste,
A płynąc w duszę tajemniczo, skrycie,
Mówią o szczęściu, co trwałe i czyste.
Pierwsza, gdy dusza w smutku obumiera,
W serce się wciska boleść i zwątpienie,
Wiedzie do krzyża, gdzie świata zbawienie,
I wiarą w lepszą przyszłość łzy ociera.
Druga, co z jasnych przygląda promieni,
Gwiazda miłości urocza i święta,
Z ziemią wiążące gdy rozkuje pęta,
W rozkosz najsroższe cierpienia zamieni.
Gdy smętne w koło wysełasz spojrzenie,
Trzecia pociechą siły twoje krzepi:
"Ufaj, że kiedyś będzie sercu lepiej!"
I w duszę wlewa nowych łask strumienie,
I ulgę znajdziesz w słodkiej z nią rozmowie,
Ta trzecia gwiazda nadzieją się zowie.
Ufaj mi zawsze, chociaż grom uderzy,
Odrzucaj trwogę, ja czuwam za ciebie,
Szczęśliw, kto kocha i ufa i wierzy,
W co ufał, wierzył, to ukocha w niebie.

T. B.



SZLĄZK MOJA OJCZYZNA.

Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców słynie
A lud z ubóstwa i rzadkiej prostoty?
Gdzie marny kruszec w obcych ręce płynie,
A ludek w serce swe drogie klejnoty
Przed cudzem okiem i światem ukrywa,
By nie sięgnęła po nie ręka chciwa. —
Znasz ty tę ziemię, znasz ten lud poczciwy,
Znasz przyjacielu, naszych chłopków serca?
Och, znasz je może, jak ci je kłamliwy,
Jak cudzoziemczy opisał oszczerca! —

Szlązko! — słowo czarującego uroku,
Ojczyzno! — Węźle uczuć tajemniczy!
Nie zdołam ni myśli dziwnego toku,
Ni łez, ni uczuć burzliwej słodyczy
Dłużej przytłumić; więc niech się łzy leją,
Myśli swobodnie sobie pobujają;
Niech słodycz i gorycz serce koleją
Karmią, aż w radość cierpienia roztają.

Szlązko! ojczyzno, kraju ulubiony,
Od cudzoziemczej głupoty wzgardzony,
Wzgardę miłością niweczą twe syny,
Kochając i wielbiąc cię nad wsze krainy.

Gdzie bystra Odra toczy swoje wody
Śród ciemnych lasów i łanów złocistych;
Gdzie schludne domki, wesołe zagrody
W dolinach i po wybrzeżach skalistych,
Jakby na kobiercu kwiaty rozsiane;
Gdzie się po polach pieśni rozlegają,
W drogim po ojcach języku śpiewane;
Gdzie w lasach dziki i łanie bujają,
I gdzie z kominów niebotycznych chmury
Dymu się wiją, płomienie buchają,
A młoty w kruszec, jakby taran w mury
Z trzaskiem piorunu stale uderzają,
Tam moja ojczyzna, to mój Szlązk kochany.

Gdzie w sercach ludu jędrne czucie żyje
Dla polskiej niegdyś ojczyzny i matki;
Na jej wspomnienie serce żywiej bije,
Jak gdy wygnane czasem z domu dziatki
Na przeszłość spojrzą, jak na senne mary,
Gdzie miłość bratnia wsze serca kojarzy,
Gdzie każden kmiotek jest jakby na straży
Swej mowy ojcowskiej, swej świętej wiary, —
Tam moja ojczyzna, to mój Szlązk kochany.

Czesław Lubiński.



MODLITWA.

Gdy księżyc w głuchem nocy milczeniu
W wieńcu gwiaździstym przepływa blady,
I tajemniczo lśniąc na sklepieniu
Srebrne po ziemi rozsiewa ślady;
Gdy na widnokrąg wdzięcznie i jasno
Wchodzi jutrzenka wróżąc zaranie,
A gwiazdy zwolna po jednej gasną:
W proch się przed Tobą korzę, o Panie!

Kiedy na wiosnę poranna rosa
Uperla zioła, kwiaty i drzewa,
Skrowronek z pieśnią płynie w niebiosa,
Zieloną niwą wietrzyk powiewa;
Kiedy dolata z blizkiej dąbrowy
Szelest konarów i liści chwianie,
Niby cichemi pacierza słowy:
W proch się przed Tobą korzę, o Panie!

Kiedy promieńmi słońce skwarnemi
Uzłaca zwolna dojrzałe plony,
Gdy kłos pochylon ku matce ziemi,
Z wdzięcznym poszmerem bije pokłony;
Gdy kmieć ku niebu zanosi dzięki,
Widząc nadzieję na bujnym łanie,
A ptak czci pieśnią dary Twej ręki:
W proch się przed Tobą korzę, o Panie!

Gdy widzę w miłem rodziny kole
W swobodnych pląsach dziateczki młode,
Kiedy na starców dostrzegę czole
Niezamąconą życiem swobodę,
Widząc jak cicho, zdala od świata
Niewiasta pełni święte zadanie,
Wianek ofiarny cierpliwie splata:
W proch się przed Tobą korzę, o Panie!

Gdy uznojona w drodze żywota
Usuwam ułud ponętne czary,
A gdzie mi w górze gwiazda lśni złota,
Duch bieży skrzydły niesiony wiary,
I otoczony blaskiem promieni,
Słyszy Anioła Stróża wołanie,
Coraz swobodniej krążąc w przestrzeni:
W proch się przed Tobą korzę, o Panie!

O! gdzie rzuć okiem, wszelki twór Boży
Wonią lub wdziękiem ku niebu wzlata,
By uczcić Tego, co w blasku zorzy
Sieje nieznane cuda w krąg świata,
Co żywiącego promieniem słońca
Przejmuje chłodne ziemi otchłanie;
Gdy świat się korzy z końca do końca:
W proch się z nim korzę, przed Tobą, Panie!

Seweryna Duchińska.



AUTHOR

Skarbczyk

TITLE

DATE DUE	BORROWER'S NAME
[illegible] 27	77
Fe 15 '41	15 [illegible] 524
Mr 17	933

DATE DUE	BORROWER'S NAME



UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 107928043